

NIECH ŻYJE 1 MAJA

-DZIEŃ MIĘDZYNARODOWEJ SOLIDARNOŚCI LUDZI PRACY

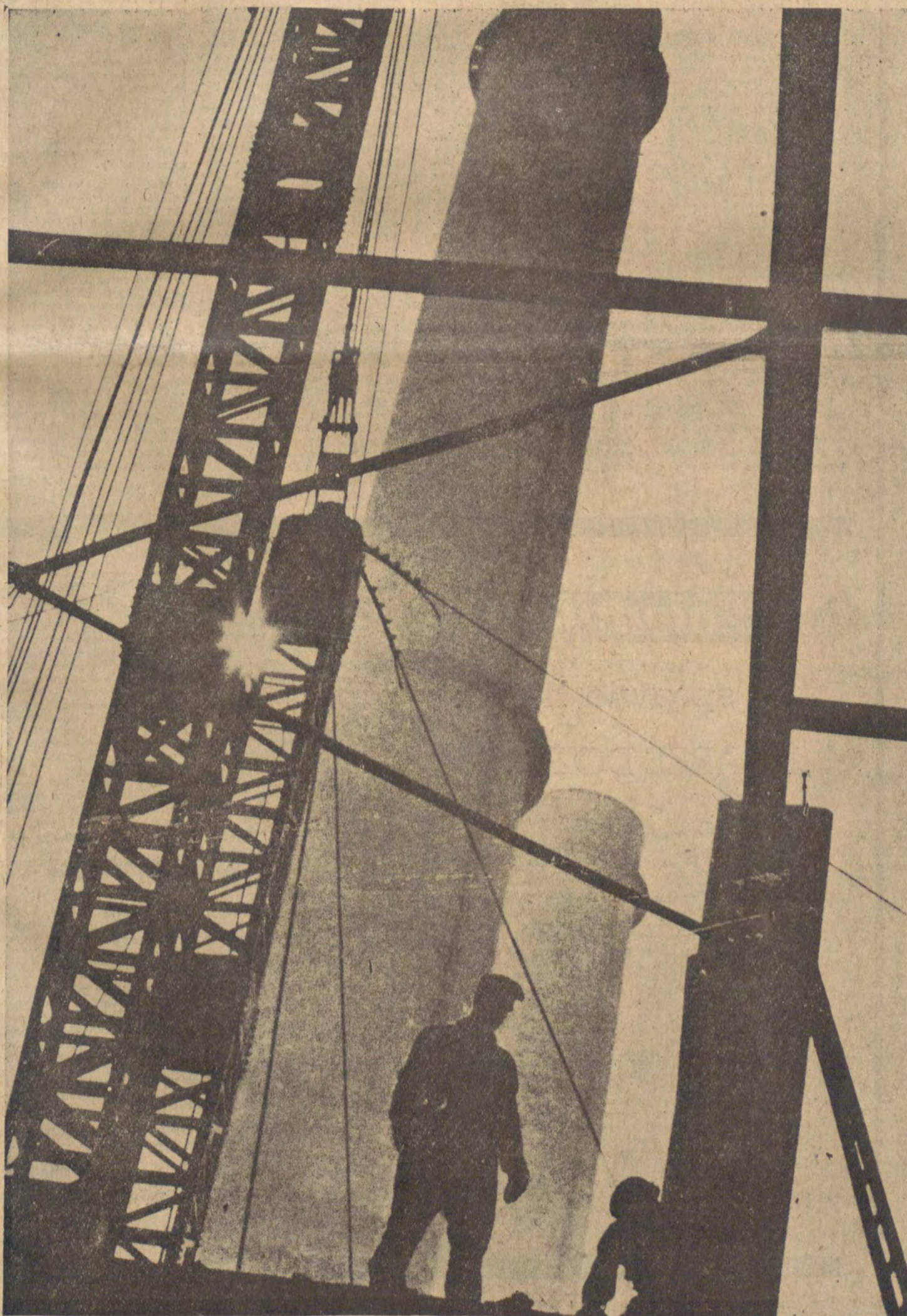
odgłosy



18 (548)
5. V. 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI

Dziś w numerze: **O patriotyzmie po latach** ● **Bohater Ziemi Wieluńskiej**
● **Granica** ● **III Festiwal Poezji** ● **...i wszędzie Go znają i cenią**



Znów doroczny pochód pod Czerwonymi Sztandarami — jak zawsze w maju — od tylu już dziesięcioleci. Maszeruje cały niemal naród w tym pochodzie. Zwyczajowe to święto, czy przejaw rewolucyjnej świadomości mas? Właśnie w roku 1968 — tak ważnym, że może zwrotnym w naszych powojennych dziejach — warto by odpowiedzieć na to pytanie, spojrzeć za siebie, w przeszłość, tam, gdzie po raz pierwszy formował się ów buntowniczy, a potem triumfalny pochód: aż w mrok zaoborów, w chaos naszych ówczesnych zacofanych stosunków społecznych.

Już wtedy pierwsze grupy Polaków skupione pod Czerwonym Sztandarem mogły być dumne ze swych wolnościowych tradycji. Cóż to za fenomen! Naród zwany szlacheckim stał od utraty Niepodległości swych najlepszych synów na wszystkie ówczesne pola bitew o Wolność Społeczną i Narodową, Kościuszkę, Lelewela, Bema, Dąbrowski i Wróblewski — to oni przecież wyprzedzali duchem i czynem Proletariatyzm. Bojowników 1905 roku. Internacjonalistów walczących przeciw ludobójczej rzezi pierwszej wojny światowej i uczestników Rewolucji Październikowej.

A gdy przed półwieczem wróciła Niepodległość, te same sztandary, ta sama ich czerwień wiodły przodującą klasę narodu w boje przeciw dyktaturze rodzimej burżuazji, przeciw rządowi sanacji, przeciw Brześciowi i Bereznie, nędzy i bezrobociu — a potem przeciw coraz wyraźniejszej groźbie międzynarodowego faszyzmu. Ta sama czerwień zakwitła krew Polaków na wapiennych kamieniskach walczącej Hiszpanii. Gdy na Polskę runęła hitlerowska nawała — czerwień stała się kolorem kosynierów gdyńskich, kokardą batalionów robotniczych Warszawy. W noc okupacji była barwą nadziei. Była kolorem krwi partyzanta i powstańca, żołnierza, który oddał swe życie pod Lenino, za Warszawę, w Kołobrzegu i w Berlinie — wszędzie **Za Naszą Wolność i Waszą**. Aż wreszcie stała się kolorem triumfu: pamiętamy czerwień sztandarów pierwszej po wojnie defilady majowej!

Takie są tradycje naszych majowych pochodów. I takie są nasze hasła. **Za Naszą Wolność i Waszą**. A także — **Wszystcy przeciw wojnie**. Tej w Wietnamie i tej na Bliskim Wschodzie. **Przeciw każdej wojnie**. **Przeciw knowaniom współczesnych ludobójców**: tych z Pentagonu i tych, których brata sojusznica oś Bonn — Tel Awiw. Tak pojmujemy internacjonalizm, tak pojmować go nam każe nasza najpiękniejsza tradycja.

Jest polska wiosna 1968 roku. Bardzo wiele zdarzyło się w tym roku. Nie ma wśród nas tych, co nie mogli dotrzymać klasie robotniczej kroku. Nie słyszemy już natrętnych głosów fałszywych proroków. Nie pokrzykują na nas cyniczni chorążowie. Wyrównujemy szeregi, opada z nas żeschła skorupa błota. Demaskujemy to co antysocjalistyczne, zarówno w antyrobotniczych wynaturzeniach socjologicznych teorii jak i w koteryjnych systemach powiązań „nowej elity”. Zapewne dlatego nasze hasła tej wiosny brzmią donośniej i szczerzej. Mamy powody by wierzyć, że w naszym kraju socjalizm tej wiosny stał się dla wszystkich ludzi pracy celem bliższym i bardziej realnym. Bo przecież nabierają nowych treści i wyzwalają entuzjazm mas nieśmiertelne hasła ucieleśniające marzenia pokoleń. **Pokój, Równość, Sprawiedliwość, Ludowładztwo**.

Taka jest tegoroczna wiosna. Taki jest pierwszy maja 1968 — i takim go zapamiętamy.



W ub. tygodniu rozpoczęła się druga część XXII sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ. Wbrew oczekiwaniom, że ustalenie porządku dziennego nie powinno być kontrowersyjne, tuż po otwarciu sesji zarysował się pewien impas. Polegał on na tym, że grupa krajów afro-azjatyckich domagała się, aby w pierwszej kolejności rozpatrzyć sprawę Afryki południowo-zachodniej i do czasu podjęcia decyzji NIE STAWIAC innego problemu. Rzecz w tym, że na porządku dziennym sesji znajduje się m. in. projekt układu o zakazie rozprzestrzeniania broni nuklearnej, a niektóre kraje zainteresowane są odwołaniem tej dyskusji. W tej sytuacji domaganie się delegacji afro-azjatyckich natychmiast podchwyciło kulturalowca, która spowodowała opóźnienie debaty generalnej, doprowadziła po dwóch dniach do uzgodnienia stanowiska. 26 kwietnia rozpoczęła dyskusję nad problemem afrykańskim, ale równocześnie w pierwszym Komitecie Zgromadzenia Ogólnego — nad projektem układu o nieprolifacji. Zalecenia tego komitetu będą następnie przedstawione plenarnemu posiedzeniu.

Nie rokując optymizmu trzeci punkt porządku obrad — sprawy Bliskiego Wschodu. Ciągłe odzyskiwanie przez Izrael postanowień Rady Bezpieczeństwa o wycofaniu wojsk z zagarniętych terenów arabskich, a nadto liczne prowokacje wobec sąsiadujących krajów — uniemożliwiają postęp.

Prowokacją na dużą skalę jest decyzja rządu izraelskiego zorganizowania parady wojskowej w dniu 2 maja w Jerozolimie, która — w myśl tej decyzji — ma również objąć starą, a więc ARABSKĄ część miasta. W lipcu ub. roku nadzwyczajna sesja ONZ przetrząsała Izrael przed podjęciem jakichkolwiek kroków, które mogłyby zmienić status Jerozolimy.

Przypomnijmy Czytelnikom, że w 1948 roku Izrael zajął nową część tego miasta, a następnie jednostronnie, czego nie uznają żadne państwa, proklamował ją swoją stolicą. W czerwcu ub. roku zagarnięta została druga część miasta i bezprawnie włączona do obszaru izraelskiego. Decyzja o urzędzeniu tam deklaryacji w intencji jej organizatorów ma być demonstracją, wykazać, że Izrael ignoruje międzynarodowe postanowienia. Sprawa na wniosek Jorana znalazła się na forum Rady Bezpieczeństwa, która wezwwała Izrael do powstrzymania się od deklaryacji. Dodaliśmy, że w rzeczywistości miejsce prowokacyjnej parady w ostrych słowach wypowiedział się sekretarz generalny NZ — U Thant, który reprezentuje stanowisko ONZ o umiędzynarodowieniu miasta.

Obecna sesja Zgromadzenia Ogólnego Zwraca jednak uwagę opinii światowej przede wszystkim z powodu układu o nierozpowszechnianiu broni jądrowej. Jeśli zapadnie decyzja o jego przyjęciu — uczyniony zostanie istotny krok w kierunku rozbrojenia, a sesja z pewnością uznana zostanie za jedną z najważniejszych w całej historii Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Z informacji, jakie w ostatnich dniach napłynęły z Nowego Jorku, warto zwrócić uwagę także na dymisję stałego przedstawiciela Stanów Zjednoczonych w ONZ — Arthura Goldberga. Jako powody jego ustąpienia wymienia się w kuluarach ONZ niezgodzenie się z wietnamską polityką Johnsona oraz zbyt mocne prozrańskie stanowisko w konflikcie bliskowschodnim, co utrudnia USA manewrowanie wobec krajów arabskich.

O ile jednak rezygnacja Goldberga nie była zaskoczeniem, ponieważ (o czym i my pisaliśmy swego czasu) oczekiwano jej od jesieni, o tyle różne domysły budzi mianowanie na jego następcę Georga Balla, bliskiego współpracownika prezydenta Kennedy'ego, uważanego za zdecydowanego zwolennika zakończenia wojny wietnamskiej na drodze pokojowej.

Prasa amerykańska pisze, że jest to dowód dobrej woli Johnsona w sprawie Wietnamu. Nam się jednak wydaje, iż jest to element wielkiego manewru obecnego prezydenta, któremu przecież zależy na takim właśnie komentowaniu jego polityki. Ciągłe bowiem nie można wykluczyć, że będzie on ponownie kandydował na szefa państwa. O jakiej zresztą mówić tu „dobrej woli”, jeśli USA wciąż zajmują wyjątkowo stanowisko w sprawie miejsca wstępnego kontaktu ze stroną wietnamską, a równocześnie nie rezygnują z ataków lotniczych na DRV?

W ub. tygodniu rozpoczęła prace w Budapeszcie komisja przygotowująca do międzynarodowej narady partii komunistycznych i robotniczych, wyłoniona decyzją spotkania konsultatywnego. Jej zadanie — to merytoryczne i organizacyjne przygotowanie narady, zapowiedzianej na koniec bieżącego roku w Moskwie. Podczas obecnego spotkania w Budapeszcie omawiano założenia zasadniczego dokumentu narady, która poświęcona będzie zadaniom walki przeciwko imperializmowi oraz jednoci działania partii komunistycznych i robotniczych, a także wszystkich sił antyimperialistycznych.

Pięćdziesiąt dni, jakie minęły od spotkania konsultatywnego, raz jeszcze potwierdziły potrzebę utworzenia jednolitego frontu działania przeciwko imperializmowi. Takie zadanie spełnić ma narada, będąca jedną z zasadniczych form działalności międzynarodowego ruchu komunistycznego.

Przebiegiem przygotowań żywo interesuje się opinia światowa, w pełni doceniając wagę narady dla pokoju i bezpieczeństwa narodów. Zakończona w niedziele rozmowa o dalszym ciągu głębokiej, merytorycznej dyskusji nad węzłowymi problemami międzynarodowymi.

W. SŁAWSKI

REZOLUCJE

łódzkiego
środowiska
dziennikarskiego

artystów
scen
łódzkich

My, dziennikarze Łodzi i Ziemi Łódzkiej jednego z największych okręgów przemysłowych Polski, zgromadzeni na zebraniu środowiskowym w dniu 25 kwietnia 1968 roku, oświadczamy, że jesteśmy i będziemy z Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą, za jej programem i linią określoną w przedmówieniu I sekretarza KC PZPR, towarzysza Władysława Gomułki na spotkaniu z aktywnym partyjnym w Warszawie 19 marca br. Byliśmy, jesteśmy i będziemy przeciwko wszelkiej dywersji politycznej, wzmaganej ostatnio przez atakującą z coraz większą wściekłością imperializm, a godzącej w nasz naród, socjalizm i pokój świata. W szczególności byliśmy, jesteśmy i będziemy przeciwni syjonizmowi, owym nieodrodnym siłom imperializmu, znajdującym w naszym kraju swoich głosicieli, zwolenników i ordonników.

W chwili kiedy cały naród podejmuje wielki czyn produkcyjny i dyskusję przed V Zjazdem partii, dotyczącą dalszych perspektyw rozwojowych naszej ojczyzny, zapewniamy klasę robotniczą, chłopów i inteligencję pracującą, zapewniamy Komitet Centralny PZPR, łódzki i wojewódzką instancję partyjną, iż rzetelną informacją i żarliwą publicystyką na łamach gazet, z anten radia i telewizji będziemy nadal zwać wszelkie antypartyjne i antysocjalistyczne poglądy i konsolidować społeczeństwo wokół przewodzącej narodowi partii i jej kierownictwa z towarzyszem Wiesławem.

Na fali wielkiego ożywienia politycznego, oczyszczając nasze życie gospodarcze i społeczne, partię i aparat władzy z elementów obcych i wrogich Polsce Ludowej, dla

kórych celem nie jest dobro narodu, lecz interes sił obcych bądź osobiste korzyści, domagamy się, aby z tych elementów oczyścić do końca front ideologiczny, którego czołowy oddział stanowią m. in. dziennikarze.

Będziemy z całą konsekwencją realizować uchwały VII Walnego Zjazdu Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w sprawie szybkiej, pełnej i rzetelnej informacji, nieskrepowanej i w interesie społecznym uprawianej krytyki prasowej oraz ofensywności przeciwko antypolskiej propagandzie, płynącej na łamach eteru z wrogich nam rozgłośni radiowych.

Uważamy, że powołaniem dziennikarza jest nie tylko pisać, lecz również działać poza własną redakcją. Dlatego podobnie jak klasa robotnicza, pragnąc włączyć się do przedzjazdowego czynu oraz uczelnić święto pierwszomajowe postanawiamy:

— oddać do dyspozycji instancji partyjnych Łodzi i Ziemi Łódzkiej kilkudziesięcioosobowy zespół dziennikarzy, którzy w czasie wojny od pracy zawodowej prowadzić będą prelekcje na zebraniach organizacji partyjnych i środowiskowych, w zakładach pracy i szkołach, wszędzie tam, gdzie dziennikarz — działacz okaże się pomocny w wyjaśnianiu aktualnej polityki partii;

— inną grupę dziennikarzy oddać do dyspozycji Łódzkiego i Wojewódzkiego Komitetów PZPR w celu prowadzenia odczytów podczas zbliżających się tradycyjnych Dni Oświaty, Książki i Prasy.

Wzywamy wszystkie pozostałe środowiska dziennikarskie w kraju do podobnego działania dla dobra partii i narodu, dla dobra socjalistycznej Polski.

My, artyści scen łódzkich zgromadzeni na spotkaniu środowiskowym dotyczącym znanych wypadków marcowych — po wysłuchaniu informacji sekretarza KC PZPR tow. H. Rejniaka i po wnikliwej analizie tła, okoliczności i przebiegu tych zjawisk, oświadczamy co następuje:

Czując się nie tylko artystami, ale i obywatelami Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, pragniemy dać wyraz naszemu jednolitemu stanowisku, którym jest pełne poparcie dla polityki partii i rządu PRL.

Niech nam wolno będzie przypomnieć, że my, artyści scen Łodzi — miasta o starożytnych i nowych tradycjach rewolucyjnych, dawaliśmy i dawać będziemy codziennie dowody naszego czynnego i bezpośredniego zaangażowania we współczesność poprzez wymowę faktów. A tymi faktami jest także nasz udział w kształtowaniu świata domoich obywatelskiej i estetycznej społeczności łódzkiej poprzez sztukę, do której służby czujemy się powołani. W tych trudnych i skomplikowanych chwilach, ponawiamy naszą gotowość służby teatrowi socjalistycznemu, sztuce twórczej przez ludzi i dla ludzi. Sztuce, w której dobro człowieka ma znaczenie priorytetowe i niepodzielne.

Pragniemy dać wyraz naszemu głębokiemu oburzeniu z powodu antypolskiej, hańbiącej naród, który współtworzymy, propagandowo oszczerzej akcji międzynarodowego syjonizmu i faszyzującej izraelskiej soldateski. Także oburzają nas enuncjacje paryskiej „Kultury” oraz audejce rozgłośni „Wolna Europa”, wypaczające naszą rzeczywistość i obrażające naszą godność narodową.

Naród nasz dawał zawsze dowody pełnej tolerancji narodowej czy wyznaniowej i udokumentował to w historii morzem krwi i milionami ofiar w chwilach najcięższej totalnej próby, zadanej nam przez zbrodniczy hitleryzm.

Próba przetrzeżenia odpowiedzialności za ludobójcze poczynania hitleryzmu na nasz umęczony i bohaterki naród, jest nie tylko największym fałszerstwem faktów, ale i najpodlejszym precedensem politycznym, jaki zna historia dziejów świata i narodów.

Dlatego popieramy oświadczenie rządu, że ani syjonizm, ani antysemityzm nie mogą mieć miejsca w naszym kraju. Naród nasz pragnie pokoju. Pokój — to nasze największe dobro — to spokojny sen naszych dzieci — to pogodnie niebo nad głową i bezpieczna ziemia pod stopami. Pokój — to rozkwit sztuk, które milkną, gdy przemówią armaty. Więc niech mileżą działa, a nie mileżą muzy.

Dlatego popieramy nasze sojusze polityczne, gospodarcze i kulturalne ze Związkiem Radzieckim i wszystkimi krajami, które tworzą obóz państw socjalizmu.

Socjalizm, który jest przyjacielem muz i gwarantem naszego spokoju, bezpieczeństwa i nienaruszalności granic.

Ze szczerym zainteresowaniem i głęboką uwagą śledzimy wysiłki władz w kierunku wprowadzenia w kraj naszego ludu, spokoju i praworządności. Uchwalając i podpisując naszą rezolucję, potwierdzamy naszą zgodność ze stanowiskiem tych, dla których dobro Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jest najwyższym prawem.

Polemiki

W sprawie hasła: „PISARZE DO PIÓRA”

Jaś ważną kwestią jest sprawa formułowania hasła i ich interpretacji można się z łatwością przekonać w dziełach klasyków marksizmu-leninizmu, a także w rozlicznych pracach polemicznych (zwłaszcza politycznych) i innych autorów.

W związku z ukazaniem się na ten temat artykułu W. Jazdyńskiego, w którym — obok wielu kwestii nie budzących wątpliwości — znalazły się jednak tezy co najmniej kontrowersyjne, pragnę wyłożyć swój punkt widzenia na temat hasła: „Pisarze do pióra!”

Niebagatelną rzeczą w interpretacji hasła jest uwzględnienie sytuacji politycznej, w której się ono pojawiło, a także zidentyfikowanie jego autora, bądź autorów.

Kiedy więc ono się pojawiło, kto je sformułował i wysunął, jakie były i są treści polityczne owego hasła, jak je należało i należy odczytywać, jaka była i jest jego wymowa polityczna?

Wśród wielu hasła, które pojawiły się na arenie walki politycznej w czasie dramatycznych wydarzeń marcowych znalazło się hasło: „Pisarze do pióra!”. Pojawilo się więc ono w określonej sytuacji, w sytuacji walki politycznej prowadzonej przez masę pracującą, którym przewodziła i przewodzi klasa robotnicza, walki przeciwko inspiratorom wydarzeń marcowych. Autorem jego, co nie ulega chyba żadnej wątpliwości, jest klasa robotnicza.

Otóż, jak już dziś wiadomo, wśród inspiratorów i wychowawców, znalazły się wsteczne siły wywodzące się genetycznie co prawda z różnych źródeł (syjonizm, re-

wizjonizm, Kola „Znaki”, bankrutów politycznych itd.), ale skonsolidowane wspólną nienawiścią do Polski Ludowej i narodu, do socjalizmu i partii.

Niestety, nie brakuje wśród nich ludzi pióra typu Jasienica, Kisielewski i inni, ludzi, którzy nie zawahali się przyczynić do sprowokowania wydarzeń marcowych, którzy zaangażowali się w walkę przeciwko naszemu narodowi, stając tym samym w jednym szeregu z siłami reakcji wewnętrznej i zewnętrznej, o czym co dzień dowiadujemy się i dziś, bo walka nie jest jeszcze skończona.

Nie trzeba chyba szeroko dowodzić, jak potrzebne, i pilne w związku z tą sytuacją było i jest nadal zaangażowanie wszystkich ludzi władających piórem, którzy dążyliby do odparcia ataków Wygodzek, Jasieniców, Gryńbergów, Kisielewskich i im podobnych.

Dlatego też: „Pisarze do pióra!” było i jest wezwaniem zrzuconym przez klasę robotniczą do wszystkich patriotycznych i postępowych sił władających piórem o zaangażowanie się w tej ostrej walce politycznej po stronie klasy robotniczej i partii, po stronie Polski i socjalizmu.

Dziś możemy skonstatować, że hasło to w połączeniu z innymi hasłami pozwoliło stosunkowo szybko zorientować się przeważającej masie ludzi pióra w tym o co toczy się walka. I naturalnie przeważająca część tych ludzi w lot zrozumiała, jeżeli nie wszystko, to w każdym razie tyle, że bez wahania zaangażowali swe pióra po stronie klasy robotniczej, narodu, kraju i partii. Na udowodnienie tej tezy można przywołać wiele bardzo ważnych faktów, które zresztą są powszechnie znane szerokiej opinii publicznej.

Warto w tym miejscu zauważyć, że w walce politycznej, która bynajmniej nie jest skończona, spotykamy się od niedawna z autentyczną opinią publiczną, z autentyczną wolą narodu, która jest zgodna z wolą partii. I ten doniosły fakt decyduje o tym, że w walce politycznej, która prowadzimy zwieryają się coraz silniej szeregi wokół partii wszystkich patriotycznych, postępowych i socjalistycznych sił narodu i ten fakt zadecyduje ostatecznie o naszym, tzn. klasy robotniczej, narodu i partii, zwycięstwie nad siłami reakcji i bankrutów politycznych.

Także była i jest treść polityczna i wymowa hasła: „Pisarze do pióra!”, które jest nadal jak najbardziej aktualne.

mgr J. GÓRCZAK

*) „Pisarze do pióra!” — „Ogłosy” z dnia 21 kwietnia 1968 r.

O patriotyzmie po latach

Dwanaście lat temu, w kwietniu 1956 roku, opublikowałem artykuł pt.: „Myśli o patriotyzmie”, z którego pozwolę sobie przytoczyć następujący fragment:

„Spośród wielu różnych problemów naszego czasu, problem właściwego pojmowania patriotyzmu nie daje mi spokoju od dawna. Niejedną noc bezsenność, niejedną rozmowę z przyjaciółmi i nieprzyjaciółmi poświęciłem na roztrząsanie tej ważnej, dla mnie przynajmniej, sprawy. A czynnikiem to dlatego, iż stwierdzałem niejednokrotnie, że patriotyzm jest pojęciem wstydlivym, że mówienie o miłości własnej ojczyzny uchodziło w wielu środowiskach co najmniej za nietakt polityczny. Powiem więcej: w ciągu kilku lat czułem się, jako obywatel Polski Ludowej, obrażony po wielekroć w swoich uczuciach narodowych, w swojej warchodniej godności. O przeszłości mojego kraju mówiono pomniejszając jego zasługi, a drugorzędne fakty podnoszono do rzędu zdarzeń naczelnych”.

Nie przewidywałem, że artykuł ten ściągnie na moją głowę gromy. Zaatakowano mnie ostro, wśród polemistów byli tacy, którzy posunęli się do stwierdzenia, że miernikiem patriotyzmu nie powinna być miłość narodu własnego lecz raczej miłość narodów innych czy zgola całego świata. Inni zaś dowodzili: patriotyzm jest uczuciem niebezpiecznym, zwłaszcza dziś, gdyż nieuchronnie doprowadzi do nacjonalizmu. A przecież, jak czytelnik łatwo spostrzeże, artykuł mój nie zawierał żadnych rewelacji, żadnych odkryć Ameryki. Były w nim konstatacje znane, które w normalnych warunkach nie powinny budzić niezyciowych obaw, ani zdziwienia. Nie były to jednak sprawy normalne, skoro słowo „patriotyzm” wykreślono ze słownika języka polskiego jako podejrzane lub wręcz wrogie.

Jeśli przypominam obecnie tamte sprawy to nie dlatego, żeby się na kimkolwiek odgrywać, gdyż mściwość nie była i nie jest cechą właściwą memu usposobieniu. Przypominam je dlatego, że nie utraciły swego dawnego znaczenia, że przez następne lata problemy, dotyczące narodowej kultury były tłumione i spychane na margines. Pro-

ces powrotu do zdrowego rozsądku, do przywrócenia prawa obywatelstwa prawdom uznanym i sprawdzonym przez wieki został zahamowany przez tych, którzy prawią o tolerancji, a sami są najbardziej nietolerancyjni, którzy prawią o internacjonalizmie, a sami zdolni są jedynie do szowinizmu i skrytej lub nawet jawnej pogardy. Szermierze internacjonalizmu przerabiali w pismach satyrycznych dowcipy o rabinach na dowcipy o duchownych katolickich, gdyż, jak się okazało, rabini znajdowali się pod specjalną ochroną. W gazetach codziennych skreślano słowa „Boże Narodzenie” dopatrując się w nich potężnego zastrzyku filozofii fideistycznej. W podręcznikach historii tak zohydzone dzieje Polski, że z trudem uczyli o nich co rzetelniejscy nauczyciele i z nie mniejszym trudem przyswajali ją sobie utalentowani nawet uczniowie. Z moich podróży zagranicznych zapamiętałem sobie takie wydarzenie. Pewnemu przedstawicielowi naszej placówki zagranicznej zameldował podwładny urzędnik, że w małym miasteczku, w starym zabytkowym kościele, natrafiono na ślady związane z losami jednego z książąt piastowskich, i że dobrze byłoby tam pojechać, aby rzecz całą zbadać na miejscu. Podwładny zaofiarował swoją osobę, prosząc o pozwolenie szefa, przydział wozu i ewent. środków pieniężnych na jakieś niespodziewane a potrzebne wydatki. W odpowiedzi usłyszał: „Mam w d... Piastów, Jagiellonów i innych królów”. Oczywiście wobec takiego dictum nikt nie mógł do owego miasteczka pojechać, natomiast w kilka lat później wspomniany przedstawiciel polskiej placówki zagranicznej wyjechał... na stałe do Izraela.

Nie jestem historykiem z wykształcenia, ale jestem historykiem z zamiłowania i zawsze interesowałem się dziejami Polski i historią narodu. Ciekawiły mnie zwłaszcza i ciekawia po dziś dzień nasze związki z innymi narodami, podobieństwa i różnice pomiędzy Polakami a mieszkańcami innych krajów, nasze enoty i alienoty narodowe. I myślę sobie, że Polak znający jako tako dzieje swojego kraju, nie tylko nie powinien się ich wstydić, lecz przeciwnie: ma wszelkie powody po temu, aby je cenić wysoko i w stosunkach z przedstawicielami innych narodowości nie odczuwać żadnych kompleksów. Fakt, że przodkowie nasi użyli swojej krwiwa pola bitewne Europy i świata, dowodzi, po pierwsze, że nie były nam obee uczucia internacjonalizmu i miłości ojczyzny, a po drugie, że nie wyskoczyliśmy sroce spod ogona i odegraliśmy niemalą rolę w kształtowaniu i formowaniu historii. Utwierdzają mnie w tym zarówno świadectwa naszych dziejopisów, jak również (co może jest o wiele ważniejsze) świadectwa cudzoziemców, którzy badając historię Polski i jej mieszkańców, stwierdzili, że naród ten bardzo wesośnie powołał do życia instytucje demokratyczne, a tolerancja była jego cechą wyróżniającą.

Mam w swoich zbiorach bibliotecznych książkę wydaną na początku lat dwudziestych. Nazywa się ona „Listy o Polsce”, a jej autorem jest niezjący już dziś profesor angielski Karol Sarolea. Otóż w tej interesującej pod każdym względem publikacji przeczytać możemy również takie rzeczy: „Rozpatrując położenie Żydów w Polsce, musimy pamiętać ciągle, że Polska od średniowiecza była dla synów Izraela „ziemią obiecaną”, w której mogli zakładać autonomiczne gminy i rozstrząsać się do woli”. A na innej stronie Karol Sarolea pisze ni mniej ni więcej: „Polska dała przytułek Żydom za czasów, kiedy w wszystkich innych krajach europejskich szczerzo ich psami, grabiono i mordowano. W Polsce znaleźli nie tylko schronienie, ale i opiekę prawną, otrzymali bowiem przywileje i samorząd gminny. Jeżeli na świecie istnieje zbiorowa wdzięczność, to uważam, że Polacy zasłużyli przez swoją wspaniałomyślność na wieczystą wdzięczność całego izraelskiego plemienia”.

Powtarzam, że słowa te napisał historyk angielski, a jak wiadomo, Anglicy są wstrzeźni i niezbyt skorzy do przyznawania



Foto — R. Tazakowski

innym enoty tolerancji politycznej. Mam zresztą pod ręką inną jeszcze książkę, również historyka angielskiego A. Bruce'a Boswella, pt. „Poland and the Poles”, wydaną w Nowym Jorku w 1919 roku. Proszę zajrzeć na strony 38-40 i na strony 186-192. Wyczytałem tam rzeczy podobne, co u profesora Karola Sarolea. Boswell mówi nie tylko o tolerancji wobec mieszkańców obcojęzycznych w Polsce, mówi także o przywilejach, jakimi Żydzi cieszyli się w naszym kraju od wieków, i że ten stan rzeczy nie zmienił się nawet w najcięższym dla Polski okresie, to jest w czasie zaborów.

Wreszcie chciałbym przywołać na pamięć jeszcze jedno świadectwo cudzoziemca. Jest nim Duńczyk, krytyk i literaturoznawca, Georg Brandes (właściwe nazwisko Morris Cohen), który przebywał w Polsce dwukrotnie po kilka miesięcy, wygłaszając odczyty, spotykając się z ludźmi i prowadząc niustanne rozmowy o literaturze i polityce. Po powrocie do swego kraju jeździł z prelekcjami o Polsce i pisał o niej w prasie, a także w oddzielnie wydanej książce. Wśród podkreślanych demokratycznych cech społeczeństwa polskiego, jego patriotyzm, życzli-

wość i tolerancję dla ludzi innej wiary i narodowości.

Przytoczyłem te cudzoziemskie świadectwa (a mogłbym przytoczyć ich znacznie więcej) nie po to, by przekonywać siebie i moich czytelników o rzeczach, które są nam wiadome i dobrze znane. Nie cytowałem żadnych głosów polskich, w trosce o zachowanie całkowitej bezstronności, całkowitego obiektywizmu. Ostatecznie nie to jest ważne, co my sami o sobie myślimy, lecz to, co myślą o nas inni. W chwili, kiedy wrogie dla nas ośrodki zagraniczne, próbują obrażać naród polski błotem i odbierać mu to, czego liczne dowody złożył w swojej długiej i nielatywnej historii, placąc cenę najwyższą, jaka jest życie — przywołanie tych opinii wydało mi się ze wszelkich miar celowe i potrzebne. Przekładam je pod uwagę nie ewanikiów i polityków, bo ci wiedzą dobrze, co czynią, lecz pod rozwagę tym, którzy pełni rozsterki i może niewiedzy, znaleźli się w kręgu działania demagogii, złej woli i wyrachowanego kłamstwa.

Sytuacja, wbrew pozorom, jest jasna i wyraźna. Trzeba tylko mieć odwagę spojrzeć prawdzie w oczy.

Nożycami przez PRASĘ

WARSZAWSKIMI OCZAMI...

Niedawno bawili w Łodzi krytycy teatralni. Wrażenia z pobytu znajdujemy w felietonie Marii Kosińskiej, jaki zamieściło „Życie Warszawy”. Najpierw autorka charakteryzuje ogólną naszą sytuację teatralną, przypominając niewątpliwie jej plusy.

Z łącznej liczby teatralnych miejsc, tych będących w gestii i na utrzymaniu władz miejskich, 49,3 procent przynależy do teatrów dramatycznych, 40 procent do teatrów muzycznych, 10,7 procent do teatrów lalkowych. Na jedno miejsce w Łodzi przypada 111 mieszkańców, podczas gdy w stołecznych miastach Warszawie 98, a w Poznaniu już 122 mieszkańców. W roku 1967 frekwencja wynosiła (obliczona łącznie z frekwencją dwóch teatrów wojewódzkich) 1.608 tysięcy osób, pamiętać jednak trzeba, że Teatr Wielki dysponuje 1.300, a Operetka 1114 miejscami.

...Miasto Łódź i województwo dopłaca rocznie do swych placówek teatralno - muzycznych niebagatelną sumę 82 milionów złotych, a żeby już skończyć z cyframi, obliczenia mi i sprawami z pogranicza organizacyjnych trzeba dodać, że to właśnie miasto, ukończyło w ostatnich latach dwie wielkie budowy — Teatru Wielkiego i Operetki a aktualnie przeprowadza generalny remont Teatru im. Jaracza.

Jak natomiast przedstawia się aktualnie rzeczywistość repertuarowa? Nie bardzo różowo, o czym i w Łodzi się mówi, choć może niezbyt śmiało. Spośród czterech obierzanych spektakli Kosińska zwraca szczególną uwagę na „Bereziaków” Karola Obidziaka, łódzianina; „Tkaczy” Hauptmanna odbierała „z dość mieszanych uczuciami”, jugosłowiańska sztuka „Apel” nie reprezentuje bardziej zwartej konstrukcji, reżyseria niewiele jej pomogła; inna prapre-

mięra, również łódzianina, Władysława Orłowskiego — a mowa o sztuce „Piąty lot” — została przez autorkę felietonu potraktowana najostrożniej.

POCZĄTEK SPORU?

W listopadowym numerze „Miesięcznika Literackiego” Artur Sandauer ogłosił spore studium, w którym postawił zająć stanowisko wobec współczesnej problematyki literackiej i usystematyzować własną twórczość krytyczną, doszlifować metodę. Sandauer jest wyznawcą awangardy literackiej, wyznawcą wyjątkowo konsekwentnym.

W dorobku wieku XX pasjonuje go jedynie tropienie poetyki negatywnej, poetyki autolematycznej, poetyki kreacyjnej. Jeśli chodzi o egzemplifikację, o posługiwaniu się przykładami, to sięga po twórczość Rilkego, Valéry'ego, Leśmiana, Zb. Herberta, W. Szymborskiej, M. Białoszewskiej, Przybosa, w prozie: Schulza, Butora... itd.

Proponowane przez niego metody wyeliminowują z pola widzenia całe obszary współczesnej twórczości literackiej. Wznowiono niedawno cenny tom opowiadań okupacyjnych prozaika Artura Sandauera „Śmieć liberale”. Według metod proponowanych przez krytyka Artura Sandauera tom ten nie zasługuje na ja-

kąkolwiek uwagę, z czym trudno się zgodzić na przykład czytelnikom.

Zainteresowani sprawą czekali na polemikę. Przyniósł ją dopiero kwietniowy numer „Miesięcznika Literackiego”. Polemista — Włodzimierz Maciąg — wychodzi z założenia, że „awangarda XX-wieczna wkroczyła w swój okres akademicki”.

Ważniejsza jednak jest sprawa roli i celów sztuki. Wskazuje Maciąg na tendencję, która opanowała awangardę zwłszcza w ostatnim dwudziestoleciu.

Literatura ta udowadnia czytelnikowi, że w świecie ani człowiek żadnych znaczeń nie znajduje, że istnienie jest puste i bezduszne, że człowiek próbuje znaczeń szukać, ale zabiega te są daremne i żadnych owoców nie przynoszą. Świat okazuje się rozbity, zdeintegrowany, pokawałkowany na przypadki, nie ma w nim „treści”, w związkach, w życiu ludzkim nie ma sensów.

Podsumowując swoje rozważania, autor stwierdza:

Jeśli w pięćdziesięciolecie ostatnim istniała literatura dająca znaczenie żywotowi człowieka, jeśli stworzono w nim jakąś głębszą, moralistyczną myśl literacką — to z reguły poza dążeniami nowoczesnych. Koncepcja człowieka wybranego, który w ogro-

nym nacięciu wewnętrznym buduje znaczenie swego życia, jaka powraca w dziełach Manna (i coś z tego, że autor sam tę koncepcję parodiuje?), siódmka postawa poezji współczesnej, próba heroizmu, jakiej poddani zostają bohaterowie Malraux i Camusa, aktywność ewulizacyjna postaci Dąbrowskiej, estetyzm jako oparcie wewnętrzne wobec katastrofy u Iwaszkiewicza — to przykład literatury, która rolę swoją podjęła zupełnie inaczej.

Dzisiaj awangarda próbuje się uznać kontynuatorką klasycznej literatury europejskiej, widzi swój dorobek jako kolejny etap na drodze literackiego poznania. Nie należy profeslować; ona sama rozumie już, że oceny dla siebie musi szukać poza sobą, że dawni przeciwnicy muszą dziś świadczyć o jej znaczeniu. Jeśli jednak ocena ta ma być pełną i sprawiedliwą nie może być wyznaczona przy pomocy kryteriów, które ona sama stworzyła i które narzuć chce teraz — jako uniwersalne. Kryteria uniwersalne — wyrastają na innej glebie, one nie mogą wynikać z przekonania, że człowiek naszego wieku jest zasadniczo inny niż jego przodkowie z epok już zamkniętych.

Propozycje Sandauera są niewątpliwie frapujące, mogą być pomocne przy analizie pewnych zjawisk artysty-

cznych, jak zawsze wspiera je głęboka erudycja. Ale, jeśli mowa o erudycji, wypada powołać się na innego pisarza, Jana Paradowskiego (skądinąd również wybitnego erudyta). Pisze Paradowski we wstępie do „Odysei”:

„Tam, gdzie idzie o poezję, o sztukę, erudycja najczęściej ponosi klęskę. Zagubiony w szczegółach, erudycja nie widzi rzeczy istotnych, przeciążona pamięć ślepią wrażliwość, zamiast odczuwać uczony tworzy niepotrzebne hipotezy”.

Dyskusja zapewne się rozwinię, możemy ją tylko zasignalizować.

STYPENDYŚCI

„Prawo i Życie” jeszcze raz wraca do stosunków, panujących w świecie naszej Filmi, a m. in. i w łódzkiej Szkole Teatralno-Filmowej. Przytoczamy charakterystyczny akapit: „Kontrola NIK stwierdziła, że stypendia były przyznawane bez żadnego udokumentowania, często — jak to miało miejsce w stosunku do „biednego” Aleksandra Forda syna Aleksandra — wbrew przepisom. Zdarzały się także wypadki, że wbrew przepisom odmawiano stypendiów uczniom, którym się one należały.”

JAN OLECHNO

Józef Biedal

— bohater

Ziemi

Wieluńskiej



Wprawdzie od tamtych czasów mija już ponad dwadzieścia trzy lata, ale ktoś ze starszych mieszkańców Wielunia nie pamięta tej ponurej zbrodni, którą dokonano na ulicach ich miasta w mroczny dzień i czerwieca 1945 r. Nie był to zwykły dramat, ani pospolity mord. Ludzie przyzwyczajeni wówczas do ciągłych niezwykłych wypadków, jakie miały miejsce na Ziemi Wieluńskiej, ten przyjął ze zgrozą i oburzeniem. Skrytobójczo bowiem został zamordowany wracający z wycieczki, jaki się odbył w kinie „Odra” Józef Biedal — jeden z najśmielejszych organizatorów walki podziemnej z okupantem hitlerowskim na tamtejszym terenie. Dzisiaj na miejscowym cmentarzu można odnaleźć tylko niewielki nagrobek, bowiem władze miasta nie potrafiły dotąd, w inny, bardziej godny sposób, uczcić imienia wielkiego syna tej ziemi.

Nie dysponujemy szeroką bazą źródłową, aby dokładnie odtworzyć historię jego bohaterskiej przeszłości. O ile zdecydowałem się podać garść tych informacji o tym niezwykłym człowieku, to tylko dlatego, aby ocalić od zapomnienia jego drogę życiową do tej Polski, o którą tak wtrwał walczył, a której nie mógł oglądać, bowiem u progu jej istnienia zabrała go reakcyjna kula. Wspomnienie moje może również pobudzić działaczy miejscowych do wnikliwych poszukiwań i odtworzenia walki z władzami niemieckimi J. Biedala i założonej przez niego organizacji o wyraźnych lewicowych założeniach.

Wiesł Dzierżkowiec w powiecie wieluńskim — tu 6. XI. 1912 r. w rodzinie małorolnego chłopca urodził się Józef Biedal. Już jako młody chłopiec wyróżniał się wśród rówieśników dużym zapalem do nauki. Dzięki pomocy życzliwych mu ludzi ukończył gimnazjum w Wieluniu i wstąpił na kurs Podchorążych dla Podoficerów Zawodowych przy 2 Korpusie Kadetów w Rawiczu. Ukończył go w stopniu kaprala podchorążego. We wrześniu 1939 r. walczył na froncie przeżywając tragiczne klęskę. Był bez wątpienia gorącym patriotą i dlatego nie oddał broni wrógowi, ani jej nie porzucił jako kompromitującego bagażu. Z pełnym ekwipunkiem, na koniu, uzbrojony w karabin, broń krótką i granaty, wraca w pierwszych dekadach października do rodzinnej wsi z zamiarem kontynuowania walki z wrogiem.

Powiat wieluński przeżywa już wtedy swoje pierwsze tragedie. Złazcza ludność miasta Wielunia, barbarzyńsko zbombardowanego w pierwszych dniach września, straciła w 75 proc. dach nad głową. Wielu Polaków na wieść o wcieleniu Ziemi Wieluńskiej do Rzeszy, postanawia przenieść się w głąb kraju. W listopadzie Niemcy dokonują już pierwszych aresztowań. Te początkowe represje dotyczą głównie inteligencji i właścicieli zakładów. W kilka miesięcy później przybiorą one już groźne rozmiary i pastwą ich padnie ponad 240 osób. Rok 1940 rozpoczął okupację od tworzenia gett żydowskich i obsadzenia wszystkich stanowisk Niemcami sprowadzonymi z Reichu. W marcu tegoż roku następuje fala wysiedlenia ludności wiejskiej. Trwały one bezustannie aż do połowy 1941 roku i objęły zasięgiem około 50 proc. wsi wieluńskich.

Opuszczone gospodarstwa polskie zasiedlono Niemcami z Besarabii, Ukrainy, Litwy i Wołynia. Władzom hitlerowskim chodziło bowiem o to, aby jak najprędzej doprowadzić do germanizacji ziem polskich wcielonych do Rzeszy. W końcu 1941 r. mogą się oni już wykazać faktem, że powiat jest obsadzony w 50 proc. przez ludność narodowości niemieckiej.

Tak duży napływ Niemców do powiatu wieluńskiego z góry przesądzał, że prowadzenie na tym terenie przeciwko nim walki nielegalnej będzie wręcz niemożliwe. A jed-

nak wbrew tej oczywistej sytuacji, działalność antyhitlerowska rozpoczęła tam i prowadziła z dużym powodzeniem przez cały właściwy okres okupacji — Józef Biedal.

Po powrocie z wojennej tułaczki Biedal natychmiast rozpoczął montowanie nielegalnej organizacji. Początkowo skupił wokół siebie najbliższych kolegów, nieco później starał się, aby powstała Komenda m. Wielunia, natomiast na wsiach powoływał on do życia tzw. trójki bądź piątki, którymi w obrębie gminy kierował odpowiedni komendant. Tej pierwszej organizacji Biedal nadał nazwę: Tajna Organizacja Wojskowa. Nie miała ona jeszcze dokładnie sprecyzowanego celu i metod działania. Jak wynika z relacji aktywnego członka TOW (W. Jaskólskiego) ogólnym celem organizacji było: „godne reprezentowanie interesów polskich, co miało się przejawiać w bezpośrednim, codziennym zachowaniu się poszczególnych członków, zwłaszcza wobec wszelkich hasel propagandy wroga, zbieranie informacji o broni pozostawionej w czasie kampanii wrześniowej i magazynowanie jej. Zbieranie wiadomości o sile wroga, jego zamiarach i przedsięwzięciach organizacyjnych, zbieranie informacji o nastrojach wśród społeczeństwa polskiego, zwłaszcza o tych Polakach, którzy są zatrudnieni w administracji wroga”. W programie organizacji nie ma jeszcze mowy o bezpośredniej walce z okupantem, ale Biedal do tego celu grupę swoją przygotowywał. Świadczą o tym jego zabiegi o dobór takich ludzi do TOW, aby nadawali się w przyszłości do służby wojskowej, z drugiej zaś strony posiadali duży autorytet wśród okolicznych Polaków. Chciał też, aby organizacja, którą tworzył, posiadała wysokie morale, gdyż tylko taka mogła — jego zdaniem — przetrwać i działać w tak trudnych warunkach, jakie istniały w powiecie wieluńskim. Urok osobisty przywódcy organizacji i jego bezgraniczne oddanie sprawie konspiracji, znakomita znajomość terenu i ludzi, powodowały, że TOW rosła błyskawicznie i w początkach 1941 r. organizacyjnie obejmowała już miasto Wieluń oraz gminy Działoszyn, Lubnice, Mokrośko, Kamionka, Rudniki oraz Skomlin. Nie prowadzono wtedy dokładnej ewidencji członków, ale z relacji ludzi żyjących wynika, że Tajna Organizacja Wojskowa skupiała już wtedy około 160 osób, była samodzielną i nie utrzymywała kontaktów z żadnymi innymi organizacjami. Prowadziła własną działalność tak, jak pozwalała na to wtedy okupacyjne warunki, ale niejednemu z Polaków, w porę przez organizację ostrzeżony, może zawdzięczać życie, wielu zaś uwiecznionych korzystają z materialnej pomocy niesionej im przez ludzi Biedala.

Nie wiadomo, w jakim kierunku poszedłby dalszy rozwój Tajnej Organizacji Wojskowej, gdyby nie zaistniały w początku 1940 roku nowe okoliczności.

Na przełomie roku czterdziestego rozbudowuje swoje agendy na obszarze całej Polski nielegalna organizacja wojskowa, występująca pod nazwą Służba Zwycięstwa Polski — podporządkowana rządowi Sikorskiego. Województwo łódzkie obejmuje utworzony przez SZP V Okręg, na którego czele stanął w końcu października 1939 roku ppłk L. Okulicki. Z jego rozkazu przyjechał do Wielunia w styczniu 1940 roku b. oficer zawodowy, por. Mieczysław Woronowicz, celem zorganizowania tam pierwszej komórki — obwodu tej organizacji. Woronowicz natrafiwszy w Wieluniu na ślad organizacji Biedala postanowił z nim przeprowadzić rozmowę i ewentualnie nakłonić go do współpracy. Biedal propozycję Woronowicza przyjął i podporządkował stworzoną przez siebie Tajną Organizację Wojskową SZP, która od tego czasu była zasadniczym trzonem obwodu wieluńskiego nowej organizacji. W tej nowej konstelacji Biedal pełnił funkcje z-cy dowódcy obwodu i zarazem kierował komórką dywersji i sabotażu. Był nadal duszą i najaktywniejszym działaczem wieluńskiego podziemia. Z jego inicjatywy i przy jego bezpośrednim udziale na przestrzeni 1940 r. przeprowadzono z dużym skutkiem szereg akcji sabotażowych m. in. takich jak: spalenie tartaku, żarzenie noszących koni niemieckich, zakładanie ładunków wybuchowych w wagonach kolejowych w wyniku czego spalono cysternę z naftą, 8 wagonów słomy lnianej, 3 wagony z transportu wojskowego (byli zabici i ranni żołnierze niemieccy) itp.¹⁾

W końcu roku 1941 (w którym nastąpiła zmiana nazwy tej organizacji z Służby Zwycięstwa Polski na ZWZ) kierownictwo Związku Walki Zbrojnej poleciło swoim terenowym komendantom włączenie w skład ZWZ wszystkich innych samodzielnych dotąd grup działających w podziemiu w celu stworzenia jednolitej siły wojskowej, podległej rządowi Sikorskiego w Londynie.

Na terenie Wielunia i okolic pojawia się w tym czasie tajna grupa (założona przez przedwojennych działaczy Stronnictwa Narodowego), występująca pod nazwą Narodowa Organizacja Wojskowa, jej szefem był Tadeusz Górski ps. „Halina”. Komendant Obwodu Wieluńskiego ZWZ, por. M. Woronowicz — w myśl rozkazu dowódcy V Okręgu — postanowił doprowadzić do połączenia obu tych organizacji. Kiedy wieść o owych zamierzeniach dotarła do Biedala — ten ostro zaprotestował przeciwko konszacji, dowodząc, że on i jego ludzie zawsze ideologicznie zwalczyli i nigdy się z nimi nie połączyli. Ponieważ już uprzednio Biedal nie zgadzał się z niektórymi praktykami kierownictwa łódzkiego ZWZ (dotyczącymi np. zbierania materiałów o partiach politycznych, co przeczyło jego zdaniem apolityczności wojskowej organizacji, kolportowania nielegalnej literatury, która w warunkach wieluńskich groziła dekonspiracją całego obwodu itp.), a ponadto niektórych działaczy NOW wręcz podejrzewał o współpracę z Niemcami — postanowił wystąpić z ZWZ i założyć własną, samodzielną grupę bojową. Próby nakłonienia Biedala do dalszej współpracy w ramach połączonych organizacji ZWZ — NOW, nie dały wyników (mimo proponowanego mu awansu), w wyniku czego komendant Okręgu Łódzkiego ZWZ ogłosił go dezertorem.

Odtąd Biedal z właściwą sobie energią ponownie zabrał się do tworzenia nowej organizacji. Niektórzy z dawnych komendantów

gmin podporządkowali się jego rozkazom, przyszli także nowi ludzie, co ostatecznie pozwoliło po pewnych przeobrażeniach wewnętrznych — utworzyć organizację pod nazwą „Związek Walki Podziemnej”.

Z dotychczasowych badań wynika, że nowe ugrupowanie nie przekroczyło 150 osób, jednak osiągnięte przez nie wyniki w walce z wrogiem zasługują na najwyższe uznanie.

Biedal, który był człowiekiem o bardzo postępowym myśleniu, był przekonany, że po wojnie nie może powstać Polska rządzona przez sanację i jej popleczników. Jego poglądy najlepiej charakteryzuje rozmowa, jaką w sierpniu 1941 roku prowadził z przedstawiicielem V Okręgu ZWZ, mjr Juszczykiewiczem. Na wywody tego ostatniego, że (...) „Narodowcy tylko w Polsce mogą dojść do władzy, inne ugrupowania polityczne nie mają inteligencji” — Biedal odpowiedział: „Zaczynam drżeć o los chłopca, robotnika. Obraz życia przedwojennego staje mi przed oczyma w całej nagości. Wille, pałace, chatki, sutereny, komfort i nadza, tłum żyjących nadzieją poprawy doli z pokolenia na pokolenie (...) a ja tak często powtarzałem swoim chłopcom, że poświęcamy życie dla innej Polski, niż była do 1939, dla Polski opartej na sprawiedliwości społecznej, równości politycznej wszystkich warstw”²⁾.

Aby taką Polskę stworzyć — rozmawiał Biedal — należy w oparciu o Związek Radziecki zniszczyć hitleryzm. Do tego naczelnego zadania postanowił włączyć nowo powołaną przez siebie organizację. Nie chciał czekać tak jak inni, chciał w miarę swoich sił i możliwości dokończyć przynajmniej niewielką cegiełką do wspólnego planu rozgromienia niemieckiego faszystwu.

Na wniosek Biedala ze Związku Walki Podziemnej zostają wyłonione kilkuosobowe grupy — patroli, których zadaniem było prowadzenie działalności terrorystycznej i sabotażowej przeciwko Niemcom. O celach tych patroli tak później napisali ich członkowie: „Sam fakt pokazujący się partyzantom w 1943 roku na wschodnich terenach samej Rzeszy miał działać demoralizująco na zaplecze nieprzyjaciela. Aspekt strategicznym tej metody miało być angażowanie niemieckich sił zbrojnych w oblavy i przez to wiązanie ich, a tym samym odciążenie frontu. Zawsze więc przygotowaliśmy w różnych częściach powiatu schrony leśne, tak skonstruowane, aby zabezpieczały patroli podczas oblaw”³⁾. A oto krótka lista ważniejszych wyników działalności patroli Biedala.

- wiosną 1943 r. Biedal zastrzelił w pobliżu wsi Pieczyska dwóch żandarmów z posterunku w Wieruszowie;
- latem 1943 r. zastrzelono jednego szpicla oraz komendanta „SA” z Przedmościa k. Praszki;
- we wsiach Bolesławiec, Czastary i Żdżary rozbrojono kilka niemieckich patroli kontrolujących drogi, szereg innych zostało przepłoszonych;
- jesienią 1943 roku szereg patroli ZWP rekwirowało Niemcom świnie, odzież i broń. Na miejscu pozostawiono pokwitowanie z pieczęcią organizacji;
- w tym samym czasie inny patrol z grupy Biedala we wsi Mlechowia (pow. Kluczbork) rozbroił żołnierza Wehrmachtu, puszczając go w samej bielźnie;
- za pomocą zapalników własnej produkcji palono stogi i stodół właścicieli niemieckich;
- zimą r. 1943/1944 ludzie Biedala spędzili rozszani w „melinach” na własnym do kształcaniu, słuchaniu audycji radiowych i przygotowywaniu sprzętu do następnych akcji;

— w 1944 r. na szosie Sokolniki — Czastary zastrzelono znanego z okrucieństwa żandarma z posterunku w Sokolnikach, a ciężko raniono innego żandarma z Dzierżkowiec;

— w sierpniu 1944 r. czł. ZWP — S. Zalewski, znalazłszy się w centrum oblavy kilku kompanii niemieckich w lesie pod wsią Kamionka, zastrzelił żołnierza, który go odkrył. Niemcy zaczęli go gonić po lesie przez okres kilku godzin. W chaosie strzelaniny zastrzelili 4 swoich wehrmachowców, a Zalewski nie ujął. Później komentowali to zajęcie, jakoby przez pół dnia walczyli z dużym oddziałem partyzanckim;

— we wrześniu 1944 r. duża grupa pod dowództwem Biedala opanowała stację kolejową w Łące Opatowskiej, zabierając z magazynu 2.000 kg cukru i 500 kg innych towarów;

— w październiku tegoż roku opanowano wioskę Trzciankę (pow. Rychtal), zamieszkałą głównie przez Niemców. Obito sołtysa, a członkiem Volkssturmu zabrano broń. Niektórzy członkowie grupy wystąpili w mundurach niemieckich, podając się za dezertersów z Wehrmachtu, którzy przeszli do partyzantki, gdyż Hitler wojnę już przegrał;

— późną jesienią 1944 r. zlikwidowano 6-osobowy wojskowy punkt obserwacyjny w Uszycach.

Nie sposób w krótkim artykule wymienić dokładnie wszystkie wieloletnie wysiłki oraz bohaterską postawę Biedala i jego podwładnych w walce z wrogiem. Rzecz nie mniej cenna było ich społeczne i ideowe zaangażowanie. Marzyli w długie wieczory zimowe o przyszłej Polsce bez obzorników i kapitalistów. I kiedy po wyzwoleniu objawiła im się taka Polska, wszyscy stanęli do jej odbudowy, wszyscy opowiedzieli się po stronie władzy ludowej. Wielu członków Związku Walki Podziemnej było pierwszymi organizatorami w powiecie wieluńskim Milicji Obywatelskiej, władz państwowych i samorządowych. Ich przywódca — Józef Biedal został oficerem Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Wieluniu. Wkrótce jednak przekreśliła jego młode życie skrytobójcza kula.

W wydanej dnia 2 czerwca 1945 r. odezwie partii Bloku Demokratycznego pisano: „Pięć lat okrutnej niewoli hitlerowskiej nie zdolało go złamać. Pięć lat nieugięty i nieustraszonej, stał jako kierownik Organizacji Podziemnej pow. wieluńskiego w ciężkiej walce z barbarzyńskim okupantem. Ze wsi do wsi, z miasta do miasta niósł płomień buntu i walki przeciw germańskiemu ciemiężczyelowi. Czysty i ofiarny, walczył o Polskę Demokratyczną. Z imieniem ojczyzny na ustach, młody bohater, porwał za sobą wszystkich tych, którzy nie mogli stać na uboczu, nie mogli przyglądać się biernie masie krzywd i niewinnie przelanej krwi naszych rodaków.

Nie dosięgła go kula germańska. Na ulicy Wielunia padł od kuli reakcjonistów polskich. Padł od kul morderców, tych którzy nie pogodzili się z budową Sprawiedliwej Polski. Padł w chwili, gdy pełnił swój obowiązek, gdy ofiarnym trudem ciężkich walk i poniewierki, przyczynił się do odzyskania niepodległości i stanął śmiało do pracy, aby podnieść Polskę ze zglizzeń i zniszczenia”⁴⁾.

¹⁾ Szerzej, patrz: Z. W. Janke — Okręg Łódzki Armii Krajowej, W: Życie i Myśl 1965, nr 12, s. 127—129.

²⁾ Por. Muzeum Ziemi Wieluńskiej, materiały dot. ZWP.

³⁾ Tamże.

⁴⁾ Tamże.



Foto — Leszek Wójcik

GRANICA

1.

Noworoczny numer wydawanego w NRF tygodnika „Der Spiegel” zawiera fotoreportaż z warszawskiego getta zatytułowany „Graue Albumbblätter”. Są to wybrane kadry z głośnego filmu dokumentalnego Aleksandra Bernfesa, który niedawno oglądaliśmy w naszej telewizji. Widzowie wstrząśnięci wymową tamtego obrazu pamiętają zapewne liczne sceny bestialstw hitlerowskich, w których przed kamerą występują Niemcy. Chociaż „Spiegel” należy do pism odcinających się od oficjalnej polityki rządu w NRF i daleki jest od gloryfikowania chwały III Rzeszy, wolał jednak pominąć te ostatnie fotografie w swojej publikacji poświęconej tragedii warszawskiego getta. Tylko jeden raz, na fotosie otwierającym niejako spiegelowski montaż, występuje umundurowany i uzbrojony przedstawiciel władzy. Jest to mianowicie polski policjant granatowy, a podpis pod zdjęciem głosi: „Polnische Polizei kontrolliert die Ausweise der Getto-Insassen”. Wymowa tego zdjęcia w kontekście pozostałych jest zupełnie jasna: Polacy współdziałali w zagładzie warszawskiego getta!

Skąd my to znamy? Spreparowany przez „Spiegel” fotomontaż dziwnie koresponduje z szaliberczą akcją obarczania Polaków współodpowiedzialnością za wymordowanie przez Niemców europejskich Żydów akcją, którą rozpętały syjonistki w sojuszu z ekshiterowcami. „Spiegel” nie bierze wprawdzie bezpośredniego udziału w tej kampanii, on się do niej tylko przystosowuje.

Daleki jestem od wybielania policji granatowej, która splamiła się haniebną współpracą z okupantem, w równym stopniu prześladowając wszystkich obywateli podbitego państwa polskiego. Jej akcje były wymierzone przeciwko tym, których faszyzm hitlerowski upatrywał sobie za ofiary. To właśnie odrażającej roli, którą spełniali kolaboranci w granatowych mundurach dotyczy ostrzeżenie, jakie ukazało się 23. V. 1941 roku w konspiracyjnym „Biuletynie Informacyjnym”:

„Obok pełnej godności i patriotyzmu postawy olbrzymiej części społeczeństwa polskiego w stosunku do okupantów zdarzają się wypadki popełniania przez Polaków czynów niedopuszczalnych z punktu widzenia dobra narodu i państwa polskiego. Zdarzają się ludzie postępujący niezgodnie z poczuciem i zasadami honoru narodowego, idący na haniebną z wrogiem kompromisy, występujący się okupantom, działający na korzyść wroga i dopuszczający się czynów stanowiących wprost zbrodnie w pojęciu polskiego Kodeksu Karnego. Czynniki miarodajne w kraju stwierdzają, że takie zbrodnie i występki są rejestrowane i we właściwym czasie pociągną odpowiedzialność konsekwencje prawne: winni pociągnięci będą do odpowiedzialności, celem wymiaru należytej kary, a patriotyczny ogół, wierny swojej ojczyźnie, swemu narodowi, swemu państwu, otrzyma tym samym nie zbędną satysfakcję moralną.”¹⁾

Ale zawiązanie faktów kolaboracji do roli samej tylko policji granatowej, której funkcjonariusze, szczególnie gorliwi, ginęli z wyroków sądów Polski Podziemnej, po wojnie zaś pozostali przy życiu pociągnięci zostali do odpowiedzialności karnej, byłoby ogromnym uproszczeniem. W tym samym komunikacie „Biuletynu Informacyjnego” stwierdza się bowiem: „Na równi z Polakami pociągnięci będą do odpowiedzialności obywatele Państwa Polskiego narodowości niepolskiej, gdy sprzeniewierzą się obowiązkowi wierności wobec Rzeczypospolitej Polskiej”.

Ta część komunikatu odnosi się między innymi do członków policji żydowskiej w gettach.

2.

Jest to jedna z tych spraw, które wymykają się słowom. Może dlatego właśnie nie podjęła jej ostatecznie wyrażnie ani jedna współczesna książka, ani jeden literacki zapis lat ostatnich. Została wyjęta spod oceny immunitetem śmierci, która w krematoryjnych piecach zrównała ofiary z tymi, co ułatwiali ich zapewnianie, aby ostatecznie podzielić los większości Żydów skazanych przez hitlerowców na zagładę.

Przed majestatem tej śmierci, przed porażającą wyobraźnię pustynią grobów wykopanych w powietrzu, drżały pióra w rękach pisarzy i publicystów. I może nie tylko przed nimi. Tak łatwo można było zostać posądzonym o niecne intencje, narazić się na podejrzenie antysemityzmu. Kneblowało to usta i pętało rece. Przemawiali więc tylko ci, którym zarzutu

tego żadną miarą nie można już było postawić, przemawiali żydowski pamiętnikarze gettowi których notatki i dzienniki ocalały od pożogi. Zapiski te, wydane zresztą drukiem, dopominają się nie tyle o ekshumowanie ludzkich postaw, które w czasach pogardy poddane zostały najokrutniejszej próbie, co o wnikliwsze spojrzenie na sprawy objęte trudnym mimo wszystko do pojęcia immunitetem. Są to bowiem sprawy, o których choćby konający z głodu w łódzkim getcie siedemnastoletni Dawid Sierakowiak²⁾ pisał słabnącą ręką: „Zdaje się, nie będzie to mogło znaleźć przebaczenia”. W kilka tygodni później, pod datą 2 września 1942 roku stwierdza jeszcze wyraźniej: „Żydowska policja dopuściła się zbrodni, jakiej zdaje się dotychczas w getcie jeszcze nie dokonano”.

Jest to w tej części urywającego się gwałtownie pamiętnika, gdzie autor opisuje akcję deportacji z łódzkiego getta wszystkich dzieci żydowskich do lat dziesięciu oraz starców powyżej lat 65 i wszystkich ludzi chorych, niezdolnych do pracy albo nie pracujących. Funkcjonujący w getcie system protekcji, który tysięczne rzesze proletariatu żydowskiego poznały tak dokładnie przy odbieraniu głodowych racji żywnościowych, podczas gdy funkcjonariusze ustanowionej z rąk niemieckich władzy, kierownicy resortów i policjanci mogli się najeść do syta, dał o sobie znać i w tej decydującej chwili,



Fot. M. Menzel

kiedy rozstrzygała się kolejność pójścia na zagładę. Temperatura notatek Sierakowiaka, utrzymany w suchym, protokólnym tonie, gwałtownie się podnosi:

„Moja przenaślwięta, ukochana, wymęczona, błogosławiona, rodzona MATKA padła ofiarą krwiożerczej bestii germańskiego hitlerizmu!!! I zupełnie niewinnie, jedynie z winy złego serca dwóch czeskich Żydów, lekarzy, którzy byli u nas i badali nas”.

Ogarnięty goryczą i rozpaczą autor traci tu na moment kontrolę nad tekstem. Pisze „niewinnie”, jakby tysiące innych deportowanych szły na śmierć w sposób zawniony, a chodzi mu niewątpliwie o to, że jego matka została zawleczona na miejsce zbiórki przez żydowskich policjantów wbrew nawet tym rozporządzeniom, które wydali Niemcy, bowiem nie mieściła się w kategorii osób przeznaczonych w tym transporcie na zagładę, ani ze względu na swój wiek, ani też na stan swego zdrowia. Parę stron dalej Sierakowiak pisze:

„Jakby nie było, straciłem matkę. Piszę „straciłem”, bo prawie absolutnie już nie wierzę, by coś ją mogło wyratować. Nie ma, jak Dadek Hammer, protekcji i dlatego poszła jako ofiara za starca X czy za dziecko dygnitarza Y (...) Wprawdzie jest niby w rezerwie, ale nasi dygnitarze oddadzą najdroższą rezerwę za swoje kalekie protekcje”.

Wstrząsająca wymowa tych zdań zachęcała mnie do ponownego przeczytania wszystkich wydanych ostatnio publikacji na temat łódzkiego getta. Rysuje się w nich całkiem jednoznacznie rola policji żydowskiej jako aparatu kolaboracji. Bez jej pomocy, bez jej nadgorliwości, Niemcy nie byłiby w stanie realizować tak sprawnie swoich akcji eksterminacyjnych

wymierzonych przeciwko Żydom w getcie.

3.

Obszerne dane na temat działalności i historii powstania tak zwanej Służby Porządkowej (Ordnungsdienst) zawiera „Kronika Getta Łódzkiego”³⁾. Powołał ją do życia z rozporządzenia władz niemieckich Przełożony Starszeństwa Żydów Mordechaj Rumkowski. Na czele tej służby stanął Leon Rozenblatt. Prócz tego powołano jeszcze oddział specjalny policji żydowskiej, Sonderkommando, które sprawowało nadzór polityczny nad ludnością getta i było wyposażone w jeszcze większe kompetencje niż Ordnungsdienst. Kierował nim początkowo Gertler, potem zaś Jakubowicz, który konkurował z Rumkowskim i dał się poznać jako gorliwy wykonawca wszystkich poleceń niemieckich. Pewne funkcje policyjne spełniała także straż ogniowa, przede wszystkim jednak funkcjonariusze więzienni, których komendantem został Herberg.

Policja, jak to wynika z rozkazu odczytanego przez komendanta w pierwszą rocznicę jej powstania, została zorganizowana w ciągu dwóch dni. Funkcjonariuszy jej wyposażono w gumowe pałki, których używali w razie stawiania oporu, jak to miało miejsce np. przy tłumieniu w styczniu 1941 r. strajku stolarzy w getcie oraz przy akcjach wysiedleń doko-

platuując ludność na swoim terenie. Niektórzy z nich żerując na nieszczęśliwych bliźnich potrafili dobić się pokaznych fortun. Głośna była w getcie afera komendanta więzienia, Herberga, który chodził w czapce ozdobionej szamerowaniem ze złota. Niezależnie od funkcji komendanta więzienia, Herberga, który jeszcze jedną policyjną władzę, był mianowicie kierownikiem rewiru na Marysinie.

Przywiązując sobie mienie Żydów wysyłanych na śmierć wszedł w posiadanie 20 kg złota, nie licząc biżuterii. Zdefraudował też ponad pół miliona marek w niemieckich banknotach z dziesięciomarkowych zaślepkami, które deportowani otrzymywali od zarządu getta na drogę w pociągach śmierci.

Szczególnie odrażającą funkcję naganiaczy spełniali policjanci przy akcjach deportacyjnych. Pod datą 14 września 1942 r. „Kronika” stwierdza:

„Ażeby zachęcić policję żydowską i straż do sumiennego przeprowadzenia akcji, przyrzeczono im ochronę najbliższej rodziny. Toteż ulokowano dzieci w szpitalu i izolowano od pozostałej ludności, zaś dla osób starszych i specjalnie protegowanych urządzono izolatki na Marysinie. Takich szczęśliwych było około 1500 osób, które mimo starości i ułomności uchronione zostały od wysiedlenia. Nie byli to konieczni ludzie dla społeczeństwa zasłużeni, a nawet nie tacy, którzy w getcie mogliby się wykazać specjalnie pozytywną pracą, ale powtarzamy — ludzie protegowani.”

Ta zdrada żydowskiej biedoty, wysyłanej przy pomocy naganiaczy do obozów zagłady w Oświęcimiu czy w Chełmnie nad Nerem, nie uchroniła policjantów żydowskich od deportacji przy ostatecznym likwidowaniu getta. Za gorliwe wysługiwanie się mordercom, pozwolono im żyć o kilkanaście miesięcy dłużej. Kolejność pójścia na śmierć stanowiła dla Niemców problem tylko techniczny. Ale dla nas, dla Polaków, którzy ratowali Żydów od niechybnej śmierci z narażeniem własnego życia, a także dla Żydów, którzy dzięki tej pomocy uniknęli straszliwego końca, jest to ogromnej wagi problem moralny. Czy istnieje prawo, które pozwala dysponować życiem innych dla ratowania własnego życia, prawo, które usprawiedliwia zdradę własnych współbraci, które pozwala zapomnieć o jaskrawych przypadkach współpracy z Niemcami żydowskiej policji w gettach? Myślę, że nigdy i nikt nie dał nikomu takiego prawa. Myślę też, że przez pamięć o wymordowanych milionach Żydów nie wolno nam w tej sprawie milczeć.

4.

Nie ustają wściekłe wysiłki tych, którzy w różnych krajach Zachodu zjednoczyli się w opluwaniu Polaków i wszystkich co polskie. Szczególnie haniebnym jest ten kierunek napaści, któremu przywodzą syjonistki w sojuszu z ekshiterowcami sterając się obciążać nas współwiną za wymordowanie przez Niemców milionów europejskich Żydów. Ta szalibercza akcja, prowadzona na różnych frontach, ma pewien charakterystyczny rys. Po pierwsze, wspierają ją mordercy przebrani teraz w szaty sprawiedliwych. Mordercy, radzi przetrzeć część chociaż zbrodni i część odpowiedzialności na barki swoich niedawnych ofiar. Po wtóre, stosuje się w tej kampanii hitlerowskie kryteria rasowe, którym poddani zostają nawet umarli. Usiłuje się przeciwstawić sobie trupy aryjskie i niearyjskie, polskie i żydowskie.

Jest to jeszcze jedno wyzwanie rzucone pamięci wszystkich ofiar hitlerowskiego terroru. Jest to także wyzwanie rzucone prochom żołnierzy polskich, którzy złożyli ofiarę życia na wszystkich polach bitew całego świata, gdzie toczyła się walka z faszyzmem.

Ten rasistowski podział umarłych najlepiej demaskuje oszczerców. Zdradzają ich stare nawyki, stare słownictwo, stare hece rasowe.

Prawdziwa granica podziału przebiega zupełnie gdzie indziej. Istnieje tylko jedna rasa ludzi na świecie: rasa ludzi szlachetnych. Wszyscy inni, którzy zhańbili się ludobójstwem albo pomagali mordercom postawili się automatycznie poza nawiasem ludzkości.

Nasz naród, pomimo bezprzykładnego terroru morderców, okazał się rasą ludzi szlachetnych. Potwierdził w dniach najokrutniejszej próby swoją wielką siłę moralną, sprawdzoną wcześniej w narodowych powstaniach przeciw zaborcom. I tego właśnie najbardziej nie mogą nam darować wynajęci oszczercy.

¹⁾ Cytuję za W. Bartoszewskim i Z. Lewinówną wg tekstu zamieszczonego we wstępie do antologii „Ten jest z ojczyzny mojej” Wyd. „Znak” 1966 r.

²⁾ „Dziennik Dawida Sierakowiaka” Wyd. Iskry 1960 r.

³⁾ „Kronika Getta Łódzkiego” Wyd. Łódzkie 1966 r.

⁴⁾ Jakub Poznański: „Pamiętnik z getta łódzkiego” Wyd. Łódzkie 1960 r.

III Ogólnopolski Festiwal Poezji w Łodzi

Jury III Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w Łodzi, obradujące pod przewodnictwem MARIANA PIECHALA, z udziałem ZENONY MACUZANKI, WISŁAWY SZYMBORSKIEJ, JANA BŁOŃSKIEGO, STANISŁAWA CZERNIKA, JANA MARIH GISESA, KAROLA GRABOWSKIEGO, PROF. DR JANA ZYGMUNTA JAKUBOWSKIEGO, MIECZYSLAWA JASTRUNA, RYSZARDA MATUSZEWSKIEGO, ARTURA SANDAUERA, PROF. DR STEFANII SKWARCZYŃSKIEJ i RYSZARDA STEFAŃCZYKA, po rozpatrzeniu materiałów, nadesłanych na konkurs poetycki, postanowiło nie przyznać pierwszej nagrody, przyznało natomiast trzy nagrody drugie i cztery nagrody trzecie. Laureatami nagrody drugiej zostali: BOLESŁAW GARBOŚ, JAN PIENKOWSKI i RAFAŁ WOJACZEK. Laureatami nagrody trzeciej zostali: WITOLD MAJ, JÓZEF JACEK ROJEK, HENRYK SZYLKIN oraz IGNACY GUSTAW ROMANOWSKI. Jury rozpatrzyło również dorobek poetycki i eseistyczny, wydany w formie książkowej w 1967 roku. Jury postanowiło uznać za najlepszy tom poezji „Sto pociech” WISŁAWY SZYMBORSKIEJ, zaś za najlepszy tom eseistyczny książkę JANA BŁOŃSKIEGO pt. „Sęp-Szarzyński”. Zarówno Szymborska jak i Błński, oboje członkowie jury, zrezygnowali z przysługującej im nagrody. Wobec tego nagrody te przyznano w dziedzinie poezji URSZULI KOZIOŁ za tom wierszy „Lista obecności”, zaś w dziedzinie eseistyki ANDRZEJOWI LAMOWI za tom „Wyobraźnia ujarzmiona”.

Dzisiaj publikujemy wybór wierszy nagrodzonych w konkursie poetyckim. W następnym numerze „Odgłosów” dokonamy omówienia i oceny III Festiwalu Poezji, który (można to już dziś powiedzieć) stał się ważnym wydarzeniem kulturalnym w życiu naszego miasta i kraju.



Foto — K. Janaszewski

II NAGRODA

BOLESŁAW GARBOŚ

Spacer za miasto

Chodź ze mną w nieznaną dzielnicę
Schną babiego lata flety
Dojrzewają wina

W cienkiej bieliźnie pośladki
Wiatr suknię na próbe podnosi
Zalotnie skrzypią półbuty z CDT

Tani pierścionek z fałszywym oczkiem
Sliwowica przegięła się w pasie
Kieliszki stuknęły cienko w pęciny

JAN PIENKOWSKI

Glebae adscriptus

Przewidywałem — mogą mnie
wydziedziczyć
w imię ojca
syna i wnucząt zwykłych
Myślałem — mogą pominąć
przy najdoskonalszej z reform
ostatniej garstki
ziemi

Przeło w miejscu
kiedy Podlasie dotyka Mazowsza
wybrałem dwa ziarenka piasku
i nadałem sobie
feudalnie

Noszę je
jedno — uwieraniem w bucie
drugie — pod powieką
By wrócić razem z sobą
matce
świętej GEOLOGII

II NAGRODA

III NAGRODA

JÓZEF JACEK ROJEK

Mazurskie suity

I

Rośnie w nas wielki krzew pojednania — —
w giętkich gałęziach narowiste wiatry
gasną jak fale wyległe na brzegi
— to krzew nas pali bezwietrznym płomieniem
Cisza i wierność — —

choć nad wodami
dawne spojrzenia rybaków i kobiet —
ktoś za kimś tęskni i przysłania oczy
jakby chciał wstrzymać zaginionych — przeszłych

II

Już nam nie wracać w jesienne doliny —
tam suche trawy porosły już ziemię
i kości ptaków tak gęsto zasiały
zdziczałe pola i strzaskane drzewa
Stoję na skraju tego krajobrazu
w blasku swej drogi i pradawnych wierzeń:
to jest ojczyzna

ptak
ryba
i drzewo
— aby nie odejść od stołu i ziemi

II NAGRODA

RAFAŁ WOJACZEK

Nowy świat

W kronice skóry będą czytać dzieje
zaprzeczonych przygód: dobry stary świat
wезде w pamięci kiedy nowy świat
niełaskawie na skórze zadnieje.

— Gdy wreszcie wyjdą z ostatniego snu.
Mąż wtedy będzie słuchał — nim w dzielnicy
nie zaczną dawać piwa — czy już krzyczy
radio, kruczając ogłaszając znów.

A żona, pilnie patrząc w oczy lustra,
policzy zmarszczki i upuści dwie
ślepe łzy; potem pójdzie kupić chleb.
W śmierć dziecka wreszcie wdrze się pobudka.

III NAGRODA

WITOLD MAJ

Z medytacji o baroku siedem sonetów przypisanych B... Z. ...

Sonet I

Nie oblok ale żagiel rozpięty na wietrze
Nie żagiel ale trzcina drżąca jak powietrze
Nie trzcina ale pióro unurzane w zlocie
Nie pióro ale strzała co spoczywa w locie
Nie strzała ale łuku napięta ciecwiwa
Nie ciecwiwa lecz łucznik co w cieniu spoczywa
Oblok jest jak oblok trwa nad łanem żętym
Żaglem w ptakach co w bezkres prowadzi rozpiętym
Trzcina krucha na wodzie w której trzmielce brzęczą
Piórem ptaka splamionym atramentu tęczą
Strzała która w Achilla nieustannie mierzy
Ciecwiwa co za strzała nieruchoma bieży

Choć przemija poeta to niezmienny bywa
Oblok ptak żagiel trzcina strzała i ciecwiwa.

III NAGRODA

HENRYK SZYLKIN

Wołanie miasta

(fragment)

To nie są punkty kwadraty i koła
czy jeszcze nie słyszysz — skrzypi oś ziemi
nie widzisz — dzień wychodzi z tozyska ulic
a przecież rytm swój mają kwiaty woda drzewa
człowiek
— popatrz w symetrię jego poczyną
czy ty nie czujesz już tam w innym miejscu
powietrze w płucach jest jak drut kolczasty
wiesz przecież — bramy są umowne
zawsze zajęte pilnowaniem ulic
które uciekają i spływają ku morzu
aż odczytasz je znowu inaczej nazwane
kiedy okręt zdyszany trapiem za brzeg chwyci
foreigners to the left — powiedzą
jesteś cudzoziemcem
czy jeszcze słyszysz jak woła to miasto
jeszcze je nosisz złożone w pamięci
i oglądasz w ciemności jak atlas przy lampie

Plany, zamierzenia, nadzieje

Rozmowa z dyrektorem Wydawnictwa Łódzkiego - Wiesławem Jażdżyńskim

ODGŁOSY: Wydawnictwo Łódzkie ma za sobą 10 lat istnienia. Można by rzec, że z wieku młodzieńczego weszło ono w wiek męski. Jak Pan, jako nowy dyrektor tej placówki, widzi jej dalszy rozwój?

WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI: Wiadomo, że wiek męski to wiek księki. Będziemy się mu sieli wykaraskać z pewnych grzeszków młodoci tego Wydawnictwa. Jednakże od razu na początku muszę stwierdzić, że niezależnie od błędów i potknięć, Wydawnictwo Łódzkie ukazało w swojej działalności szerokie i wszechstronne możliwości łódzkiego środowiska kulturalnego, a środowiska literackiego przede wszystkim. Środowisko literackie jest środowiskiem wiodącym i nie dziwnego, że Wydawnictwo Łódzkie winno być głównie, choć nie wyłącznie, wydawnictwem literackim. Pierwsze dziesięciolecie charakter ten potwierdziło i urzeczywistniło. Oczywiście z tego wcale nie wynika, by literatura miała występować w postaci wyizolowanej, jest ona częścią szeroko pojętego życia kulturalnego i społecznego. W profilu WL widac było próby plasowania literatury na tle społeczno-politycznym naszego rzeczywistości. Myślę, że trzeba kontynuować wydawanie prac, odnoszących się do dziejów miasta, jego regionu, tradycji kulturalnych, włókienniczych a więc politycznych itp. Wydawnictwo Łódzkie jest przecież jednym z elementów szeroko pojętego frontu oddziaływania społeczno-politycznego, stąd znalazły w nim także pozycje jak „Księga Włókienniczy” (która trzeba będzie wznówić), pamiętniki rewolucjonistów, pamiętniki działaczy itp. Będziemy wprowadzali do planów wydawniczych rezultaty ważniejszych wydarzeń, jak np. sesje naukowe, poświęcone sprawom tradycji walk rewolucyjnych, patriotycznych, działalności kulturalnej i literackiej;

ODGŁOSY: Mówiło się często o potrzebie rozszerzenia tzw. profilu wydawniczego w naszym łódzkim wydawnictwie. Wiadomo przecież, że pewne działy literatury nie były profilem tym objęte, np. dział literatury dla dzieci i młodzieży, dział przekładów z języków obcych. Jak Pan widzi ten problem?

WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI: Z mojego punktu widzenia Wydawnictwo Łódzkie może w stopniu nieco przesadnym weszło na pole wydawania pozycji specjalistycznych, naukowych. Wydaje mi się, że jest to naruszenie kompetencji. Z drugiej strony nie objęto ono pewnych istotnych dziedzin z punktu widzenia naturalnych możliwości tworczych środowiska. Nie można sobie wyobrazić, aby normalnie funkcjonujące wydawnictwo mogło wydawać jedne gatunki literackie, a innych — nie. Jest to nonsens w samym założeniu. Dlatego też Wydawnictwo Łódzkie musi wydawać literaturę dla dzieci i młodzieży, literaturę esejistyczną, prace z dziedziny krytyki literackiej itp. No i przede wszystkim klasykę.

ODGŁOSY: A właśnie — klasyka. Wydawnictwo Łódzkie było pod tym względem upośledzone. Nie mogło wydawać nawet tych klasyków, którzy byli zarówno ze względu na swoje życie, jak i na charakter twórczości „przypisani” do ziemi łódzkiej.

WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI: Nie ulega wątpliwości, że

Łódź posiada swoich klasyków. Dosc wspomnieć Reymonta, Struga, czy Juliana Tuwima. Wydawnictwo Łódzkie nie może niejako normalnie egzystować bez możliwości wydawania dzieł wyżej wymienionych i innych autorów. Dotychczasowy stan rzeczy musi ulec zmianie, co wynika zarówno z bieżących prac nad klasykami (np. Reymont) miejscowego środowiska naukowego i literackiego jak i z ogólnych przemian zachodzących w polityce kulturalnej naszego kraju. Znosi się — jak słyszałem — na nowy rozdział klasyków. Pragnie my rozpocząć w niedalekiej, mam nadzieję, przyszłości 10-tomową edycję dzieł Reymonta, na którą złożą się: „Chłopi”, „Ziemia obiecana”, „Komediantka” oraz wybór nowel. Edycja pism Reymonta została by wzbogacona ogłoszeniem prac z ciekawej Sesji Reymontowskiej, która z inicjatywy Uniwersytetu Łódzkiego, odbyła się w grudniu 1967 roku. O innych klasyków będziemy „walczyć” i wprowadzać ich stopniowo do naszych planów.

ODGŁOSY: Chcielibyśmy Pa na zapytać, jak układa się współpraca z łódzkim środowiskiem literackim, jakie Pan widzi możliwości rozszerzenia form tej współpracy, działania inspirującego itp.

WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI: Myślę, że — nie ujmując zasług Wydawnictwa Łódzkiego — można mówić o pewnej izolacji. Nie umiem sobie wyobrazić pracy Wydawnictwa bez ścisłego związku ze środowiskiem, które po wydawnictwo tworzy. Chcielibyśmy wydawać nie tylko prace poetów i prozaików (powieściopisarzy i nowelistów), lecz także esejistów, felietonistów, pamiętnikarzy. W tym też kierunku pójdzie na szata działalność inspirująca. Trzeba ponadto nawiązać kontakty ze ZBOWID-em, Obywatelskim Komitetem Obrony Pomników Walki i Męczeństwa oraz z innymi, któ-

re mogą okazać się pomocne w utworzeniu serii wydawniczych, ukazujących w pełnym świetle tradycje patriotyczne naszego miasta i regionu. Chcielibyśmy ukazać prawdziwe i możliwie pełne oblicze polskiego ruchu oporu.

ODGŁOSY: A jak przedstawiła się współpraca Wydawnictwa Łódzkiego z młodzieżą literacką?

WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI: Niewątpliwym osiągnięciem Wydawnictwa Łódzkiego była istotnie troska o młode pokolenie piszących. Gdyby policzyć debiuty książkowe, okazałoby się, że właśnie tu, w naszym Wydawnictwie ostrogi pisarskie zdobyło wielu adeptów pióra. Wydawnictwo Łódzkie będzie kontynuować tę słuszną politykę. Pragniemy pójść jeszcze dalej i zainteresowania młodych pisarzy i dziennikarzy kierować w stronę tradycji społecznych naszego regionu. Dla przykładu: chcielibyśmy wydać serię książek o najbardziej dramatycznych fragmentach dziejów łódzkiego grynderstwa. Może się to z pewnością stać dobrą zaprawą dla młodych piór publicystycznych i dziennikarskich.

ODGŁOSY: Interesuje nas jeszcze sprawa konkursów literackich i publikacji prac w konkursach tych nagrodzonych. Czy Wydawnictwo Łódzkie będzie mieć te sprawy w polu swego widzenia?

WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI: Oczywiście, będziemy obserwować i współdziałać z wszelkimi inicjatywami konkursowymi i najlepsze rezultaty publikować w książkach. Przywiązujemy dużą wagę do ogłoszonego na łamach „Odgłosów” konkursu pn. „Młodzie Polacy lat sześćdziesiątych”. Interesują nas także takie konkursy jak „Rubinowa Hortensja”, „Złote Czołno”. Wydawnictwo Łódzkie ogłasza prace nagrodzone na konkursie literackim, zorganizowanym z inicjatywy Wojewódzkiej Rady Narodowej, Związku Literatów Polskich i właśnie naszego Wydawnictwa. Chcielibyśmy również ukazać w postaci książkowej dorobek Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji, który już po raz trzeci został zorganizowany w naszym mieście. Może jeszcze parę słów o „Osnowie”. Ukazuje się ona w Wydawnictwie Łódzkim z dotacji Ministerstwa Kultury i Sztuki. Wydaje się koniecznością ustabilizowanie „Osnowy” jako kwartalnika na normalnych zasadach prasowych. Wydawnictwo nasze nie dysponuje przecież siłą kolportażu, co dla pisma o regularnej częstotliwości ukazywania się jest po prostu niezbędne. Mam nadzieję, że uregulowanie sprawy wydawnictwa „Osnowy” da się wkrótce załatwić pozytywnie.

ODGŁOSY: Dziękujemy za cenne informacje.

Rozmawiał: J.K.



Jerzy Przybylski (Kumala), Leon Niemczyk (Pogorzelski) i Aleksander Fogiel (Kowalski)

ROMAN ŁOBODA

BEREZIACY

Na wstępie chciałbym zaszyfrować ukontentowanie, a to z dwóch względów: po pierwsze, że wrzesnie na scenach łódzkich ukazują się sztuki współczesne i to do tego autorów łódzkich, po drugie, że twór Karola Obidniaka „Bereziacy” otrzymał udany kształt sceniczny.

Młody dramaturg łódzki podjął się zadania trudnego. autentyczne wydarzenia lat 1937-39 w Berezie Kartuskiej zaprzagnął utrwalić za pośrednictwem dramatu. Chcąc zachować wierność prawdzie, świadomie ograniczył, to, co jest syrenim głosem i osobistą przypodą autora — fikcją literacką.

Wyrzeczenie nie poszło na marne. Otrzymał miśsi wprawdzie to, co niektórzy nazwali reportażem scenicznym, ale poetyka faktów trafnie zakomponowana przez autora i poparta dobrym dialogiem zająłła pełnym blaskiem.

Poetyka to dramatyczna i okrutna. Na próbie charakterów wystawieni są więźniowie — komuniści. Na najwyższych szczeblach sanacji opracowuje się plany łamania postaw moralnych, rozbijanie solidarności uwiezionych zarówno perfidnie wyafinowanymi jak i brutalnymi metodami. Niepojęte wydaje się, jak człowiek mógł przebrnąć przez całe polacie historii pod ciśnieniem cierpienia zachowując siłę oporu.

„Ale poetyka faktów w „Bereziakach” jest tragiczna, lecz nie beznadziejna i to Obidniak umiał bez detej deklaracyjności opowiedzieć. Ani podstęp, ani przemoc nie złamały bereziaków. Miarę zakłamania i niegodziwości jednych ludzi może zrównoważyć hart, solidarność i bohaterstwo innych ludzi.

To są optymistyczne obszary historii, optymistyczny wydźwięk historii bereziaków, co Obidniak umiał dostrzec.

Obok cywilizacji i technicyzacji rozwijają się nauki o człowieku. Najbliższym sąsiadem Polski są w latach 1937-39 Niemcy faszystowskie, gdzie te dwa skrzydła postępu posłużą im niebawem za naukową podstawę do budowy obozów koncentracyjnych i pieców ktematoryjnych.

Polscy komuniści wiedzieli, co się dzieje u sąsiadów i co grozi ich Ojczyźnie.

Wstrząsająca jest scena w „Bereziakach”, gdy więźniowie dowiadują się o rozwiązaniu

KPP. Ale i tę próbę ich charakteru wytrzymują. Cios jest potężny, lecz ich nie powala. KPP jest rozwiązana, bramy więzienia otwarte. Padają pierwsze bomby. Komuniści chwytają za broń. Idą walczyć przeciwko wspólnemu wrogowi Ojczyzny i wrogowi humanizmu.

Wydaje się, że prawda o bereziakach jest prawdą o człowieku, o jego walce i trudnym zwycięstwie.

Spektakl przykuwa uwagę widza. Nie ma w nim dźwięku, a przeplatanie się scen wziętych ze scenami ze sfer rządzących, poszerza prawdę o Berezie Kartuskiej o całe zaplecze i mechanizm polityczny owych czasów, które nie są przecież jeszcze historyczne, dopóki żyją ci, którzy je pamiętają, i ci, którzy bohaterstwo przeżyli jako więźniowie.

Przeplatanie scen daje żywo utrzymanej w tempie, ale nie nerwowej inscenizacji. Jakby spokój i rozważa narzucały tempo, bo przecież tylko spokój i solidarność mogły poddeprzeć charakter więźniów i uratować wiarc wiedę.

Oto na tle surowej, sugestywnej i funkcjonalnej scenografii Mariana Stańczaka widzimy więźniów Berezy. Wśród jaszgotu gwizdków i wrzasków strażników przebiegają stukając drewnianymi tępami bereziacy. Jest to scena dobrze wyważona reżyserem i stwarza od razu nastrój znakomicie obrazujący obóz odosobnienia, jak go delikatnie nazwali jego twórcy.

Nie wierzący w nic, poza teką ministerialną, Minister w interpretacji Mariana Nowickiego, to typ eleganckiego gracza, zreszcie żonglującego frazesami, przez które przetiera cynizm i beztrojskie siebiepaństwo. Świetnie Nowicki oddaje swobodę i obycie człowieka z „towarzystwa”, który wie, ile głupoty można ukryć za godną postawą, pięknym gestem i zręcznym, w porę powiedzianym, banałem.

Równie reprezentacyjny jest Leon Niemczyk jako Pogorzelski, dyrektor departamentu. Różnica między tymi panami jest jednak widoczna. Dobrze został rozegrany dialog tych dwóch dygnitarzy, z których jeden (Niemczyk) bardzo subtelny miuansami podkreśla swoje poważanie wobec szefa, zachowując jednak dla siebie

nietykalność salonowca oraz sceptycyzm i rezerwę. Dyrektor zaczyna dostrzegać krótkowzroczność polityczną szefa i swoje w końcu bankructwo. Minister czuje się mocno osadzony w siodle, pozwala sobie na ironiczną wżgardę pod adresem swojego szefa w obecności podwładnego. Przenikliwość ministra jest doraźna. Pouczająca aktorska scena.

Jerzy Przybylski po świetnej kreacji w „Nocy spowiedzi”, znów przywdział mundur. Tym razem wyższemu oficerowi policji. Przybylski jest jednym z tych aktorów, które go pojawienie się na scenie przykuwa uwagę. Słowa wyprawiane przez niego mają zna czenie. Słowa wypowiadane przez Kumalę, komendanta obozu w Berezie, w ustach Przybylskiego nabierają więk szego nieco znaczenia. Ironicznie mądry śmiech Przybylskiego i akcentacja dyk tawizacji stwarzają pozory jakob niancko — pedagogiczn nały, bliskie kapra — dyktatce, wygłaszane w Kumale, były czymś w tej — makabrycznym pod mistycyzm, obliczone na naiwnych. Tymczasem Kumala w zamierzeniu autora — tak mi się zdaje — Machiavellim nie był, prz mu ten podtekst od twó roli.

Zd wany sadyzm politycjanta cenzurem Solecckiego, który z werwą demonstrował Andrzej Jędrzejewski, nie wymagał wyrafinowanej interpretacji.

Jak z żurnala wycięty przodownik Kowalski. Postać okazowa, usobienie przedwojennego policjanta, jedrna i żywa w geście i głosie, postaci i grze Aleksandra Fogiela. W ogóle z obsadą ról reżyser Roman Sykała nie miał chyba kłopotu. Wyszło bezbłędnie. To były role bardzo plastyczne i zróżnicowane.

Trudniej było w dużej gromadzie więźniów zaznaczyć swoją indywidualność aktorską. Tadeusz Sabara w znakomity sposób dokonał przewodu psychologicznego słabego i nieporadnego inteligenta, który w warunkach więziennych krzepnie na tego „twardziela”.

Chłop — filozof o wielkim sercu, zadziorny zabijaka i niezawodny kumpel, Włodzimir Skoczylas, siedział w tym wszystkim jak ułan. Prawdziwie oddana rubaszność, prostota i siła, bez przyprawy fałszywych gier.

Być może jednak przez swoją największą charakterystyczną rolę te najbardziej utkwiły mi w pamięci, chociaż i Czesława Przybyły i Mirosława Szonerta i Michała Szewczyka, i Zbigniewa Niewczasa, i Janusza Mazanka, no i cały wyrównany zespół pamięta się z uznaniem.

Karol Obidniak, „Bereziacy”. Opracowanie dramatyczne i reżyseria: Roman Sykała. Scenografia: Marian Stańczak. Teatr Powszechny.

Spektakle tygodnia			
	spektakli	widzów	proc.
TEATR WIELKI	„Zemsta nietoperza”	2	2552 100
	„Pan Twardowski”	1	1276 100
	„Dama pikowa”	1	1276 100
	„Rigoletto”	1	1276 100
	„Tosca”	1	1276 100
NOWY	„Damy i huzary”	4	1600 60
	„Kłacz”	2	1400 100
	„Piąty lot”	1	400 60
NOWY (Mała Sala)	„Zeglarz”	2	300 75
	„Szkłana menażeria”	2	300 75
	„Skiz”	2	300 75
POWSZECHNY	„Tango”	1	660 100
	„Radziwiłł, Panie Kochanku”	1	600 90
	„Klub kawalerów”	2	1320 100
JARACZA	„Mój biedny Marik”	4	2468 97
	7.15 „Dobrze skrojony frak”	2	700 83
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ	„Aszantka”	5	845 60
	„Pan Funtilla i jego sługa Matti”	4	940 96
	OPERETKA	„Dziękuję ci, Ewo”	6
FILHARMONIA	koncerty symfoniczne	2	940 80

Polskie malarstwo w Londynie

W dniach od 22 lutego do 23 marca ekspozowana była w Londynie wystawa plastyczna „6 malarzy polskich”, zorganizowana przez łódzkie Muzeum Sztuki, któremu zadanie to powierzyło Ministerstwo Kultury i Sztuki. Cieszyła się ona dużym zainteresowaniem londyńskich kół artystycznych i znalazła szeroki oddźwięk w prasie angielskiej. O tej wystawie, a także o dalszych planach wystawienniczych Muzeum Sztuki rozmawiamy z jego dyrektorem RYSZARDEM STANISŁAWSKIM.

— Zdaże się, że w Anglii polska plastyka nie gości zbyt często?

— Była to pierwsza po wojnie duża wystawa malarstwa polskiego w Londynie. Dotychczas w Anglii prezentowali swe prace tylko indywidualni artyści, w galeriach prywatnych. A zaczęło się od tego, że przed rokiem bawili w Polsce jako gość Ministerstwa Kultury i Sztuki, rektor Royal College of Art — Sir Robin Darwin, który obejrzał muzea polskie i przedstawił nam kilka propozycji ewentualnej wystawy współczesnego malarstwa polskiego w Londynie. W wyniku rozmów wykrystalizowała się ostatecznie koncepcja „sześciu malarzy”. W przekroju tym znalazło się dwóch autorów działających przed wojną: Tadeusz Makowski i Piotr Potworowski, znany Anglikom z okresu wojny, kiedy to żył i tworzył w Anglii, dalej Eugeniusz Markowski, twórca figuratywny o dużej dozie ekspresji, Tadeusz Brzozowski znany malarz krakowski, Aleksander Kobzdej, który wystąpił ostatnio z nowymi propozycjami i najmłodszy z tej grupy — Jerzy Teborski.

Przyjęliśmy zasadę pokazania jak największej ilości dzieł stosunkowo niewielkiej liczby autorów. Dzięki temu wystawa londyńska stanęła w gruncie rzeczy sześć pokazów indywidualnych, obejmujących po piętnaście prac każdego autora. Ten sposób konstruowania wystaw staje się zresztą, w obecnej sytuacji intensywnego ruchu wystawienniczego, coraz bardziej rozpowszechniony i wypiera przeglądy ogólne typu panoramycznego.

Życzeniem Anglików było, abyśmy tą wystawą pokazali powiązanie określonego nurtu twórczości dzisiejszej z przedwojenną. Ekspozycja miała więc obrazować tendencje, którą można by nazwać swego rodzaju „ekspresjonizmem lirycznym”, od najstarszego w tej grupie Makowskiego zmarłego w 1932 r. po Tchórzewskiego ur. w 1928 r. Przyjąwszy tę koncepcję musieliśmy niestety pominąć wiele interesujących osiągnięć innych kierunków w polskiej sztuce współczesnej na rzecz tego zarysowanego na wystawie nurtu. Aby dać obraz pełniejszy sztuki polskiej, przewidujemy w przyszłości dużą ekspozycję uwzględniającą awangardowe poszukiwania naszych twórców, w tym artystów łódzkich — Strzemińskiego, Hillera i oczywiście artystów współczesnych.

— Organizatorem wystawy było łódzkie Muzeum Sztuki, ale ekspozycje pochodzą chyba z różnych zbiorów?

— Z trzech muzeów: Muzeum Narodowego w Warszawie, Muzeum Narodowego w Poznaniu i Muzeum Sztuki w Łodzi, a także niektóre prace zaczerpnięte zostały bezpośrednio z atelier malarzy.

— Gdzie mieściła się ekspozycja?

— Wystawa była efektem uzgodnień naszego Ministerstwa Kultury i Sztuki z Arts Council of Great Britain — instytucją zajmującą się m. in. przyjmowaniem oficjalnych wystaw zagranicznych w Anglii. Organizatorami bezpośrednimi było z kolei nasze Muzeum i Royal College of Art w Londynie. Warto dodać, że RCA jest jedną z największych uczelni arty-

stycznych typu uniwersyteckiego w Europie, obejmuje wszystkie dyscypliny plastyczne włącznie z wzniewaniem przemysłowym szeroko pojętym — od projektowania maszyn i samochodów do wszelkiego rodzaju opakowań, czy mody. Dysponuje także studium telewizyjnym kształcącym w kierunku plastycznym specjalistów operatorów, posiada również wydział filmowy. Uczelnia jest przy tym pięknie położona, w centrum Londynu, naprzeciw parku Kensington Garden. Tam właśnie miała miejsce nasza wystawa.

— Jak podróżowały ekspozycje?

— Do Gdyni specjalnymi samochodami PKS, a potem statkiem. W obu kierunkach były transportowane pod nadzorem asystenta naszego Muzeum mgr Janusza Zagrodzkiego, co było konieczne ze względu na bezpieczeństwo i muzealny charakter ekspozycji.

Układ przestrzenny ekspozycji, ze względu na dość skomplikowaną architekturę sal wystawowych Royal College of Art, zaprojektował prof. Józef Mroszczak z Warszawy. Prof. Mroszczak, który jest przewodniczącym Komitetu Organizacyjnego Międzynarodowego Biennale Plakatu w Warszawie, wykorzystał okazję i w wydzielonej części gmachu zaprezentował małą ekspozycję plakatu polskiego, który cieszy się tak dużym zainteresowaniem za granicą.

— Czy można powiedzieć, że polska wystawa była jakimś wydarzeniem w życiu kulturalnym Londynu?

— Myślę, że tak. Sam wzniesił charakter bardzo uroczysty. Ceremonii otwarcia dokonała pani Jennie Lee, minister dla spraw sztuki w rządzie premiera Wilsona, w obecności ambasadora polskiego, przedstawicieli korpusu dyplomatycznego, oficjalnych osobistości świata kulturalnego i licznie zgromadzonego środowiska artystycznego Londynu. Wystawie towarzyszyło wiele dodatkowych imprez bezpośrednio z nią związanych. Wymienię przede wszystkim koncert warszawskiego kwartetu muzyki nowoczesnej „Warsztat Muzyczny” pod kierownictwem Zygmunta Krauzego, kompozytora, a zarazem jednego z najwybitniejszych wykonawców muzyki nowoczesnej, znanego z występów na Warszawskiej Jesieni, także z nagrań BBC. Koncert ten był znakomitym popisem tego zespołu i jednocześnie doskonałym uzupełnieniem wystawy, grano utwory awangardowych kompozytorów polskich i angielskich. Ponadto na terenie wystawy wyświetlane były codziennie filmy poświęcone sztuce polskiej oraz filmy eksperymentalne. Z kolei dr Andrzej Jakimowicz i prof. Jerzy Hryniewicz ogłosili odczyty o sztuce i architekturze polskiej. W sumie, nasza wystawa stała się okazją dla szeregu manifestacji artystycznych, które można by określić jako dni kultury polskiej w Londynie.

Chciałbym przy tej okazji podkreślić zasadniczą rolę jaką odegrał w organizacji i rozpowszechnianiu wszystkich imprez londyński Instytut Kultury Polskiej. Znalazły one pozytywny oddźwięk w całej prasie londyńskiej. Rozgłośnia BBC przeprowa-

dziła transmisje radiowe i telewizyjne. W moim osobistym odczuciu, wystawa została bardzo dobrze przyjęta przez organizatorów brytyjskich, którzy wykazali wiele troski o jak najstaranniejsze urządzenie ekspozycji, a także przez publiczność, u której cieszyła się dużym zainteresowaniem.

— Czy londyńczycy interesują się sztuką?

— Właśnie, to rzecz ciekawa. Londyn należy dziś do najbardziej żywych centrów sztuki współczesnej, i pod tym względem nie wiem, czy nie odbiera Paryżowi palmy pierwszeństwa. Istnieje tu i działa wiele bardzo żywych ośrodków plastycznych, a środowisko młodych malarzy angielskich należy do najaktywniejszych w Europie. Jest to zresztą fenomen dość powszechnie już znany i szeroko oddziaływały na różne dziedziny życia kulturalnego i społecznego. Na przykład na modę. Ulica londyńska jest dziś bardziej skonstruowana niż paryska. Swoboda ubierania jest ogromna, nowości przyjmują się bardzo szybko i mają dość śmiały charakter. Tu wszystko się nosi, i najkrótsze „mini” i najdłuższe „maxi” — prawie do kostek. Te ostatnie stylem przypominają trochę modę z drugiej połowy XIX wieku.

— Zapewne wpływ telewizyjnych seriali i westernów?

— Być może. Te nowe i nieoczekiwane dla tradycyjnej, purytańskiej Anglii zjawiska, są faktem zaskakującym, a ich przyczyny budzą zainteresowanie socjologów.

— Wspomniał Pan na początku naszej rozmowy o projekcie zorganizowania dużej wystawy. Czy znaczy to, że ten pierwszy i udany kontakt z Londynem rokuję perspektywę współpracy na przyszłość?

— Wydaje się, że ta pierwsza większa wystawa malarstwa polskiego może być początkiem dalszych kontaktów i dalszej wymiany. Będziemy się starać aby czas oczekiwania na następną nie był zbyt długi. I aby można było zaprezentować szerzej i bardziej wszechstronnie wybitne pozycje malarstwa polskiego.

Na razie jednak taką większą wystawę przygotowywać będziemy dla Paryża, w 1969 roku. Będzie to impreza wynikająca z umowy o wymianie kulturalnej między Polską a Francją. We Francji zresztą sztuka polska prezentowana była już wiele razy w różnych układach. W tej chwili czekamy na przyjazd p. Bernarda Dorivala, dyrektora paryskiego Muzeum Narodowego Sztuki Nowoczesnej, bezpośrednio zainteresowanego wystawą. Będziemy starali się, by wystawa ta pokazała najbardziej centralne i najważniejsze pozycje artystyczne, stanowiące „kamienie mi-

lowe” polskiej sztuki XX wieku, włącznie z osiągnięciami najnowszymi. Ekspozycja będzie niewątpliwie opierała się na bazie zbiorów łódzkiego Muzeum Sztuki; dotychczasowe ustalenia każą przypuszczać, że będzie to wystawa bardzo wyselekcjonowana.

— To chyba duże wyróżnienie, że organizację tak odpowiedzialnych, reprezentujących sztukę polską za granicą, wystaw powierza się łódzkiemu Muzeum?

— W istocie, Muzeum Sztuki w Łodzi dysponując ciekawymi zbiorami sztuki współczesnej polskiej i obecnej i utrzymując żywy kontakt z instytucjami zagranicznymi, ma wszelkie dane po temu, by uczestniczyć jako równorzędny partner w poważnym międzynarodowym ruchu wystawowym w zakresie sztuki nowoczesnej.

— Mówiliśmy dotychczas o sprawach „eksportowych”. A co na miejscu, dla nas?

— Po wystawie rysunków Władysława Strzemińskiego otworzymy na początku maja wystawę grafik z naszych własnych zbiorów. Będzie to wybór dzieł w przekroju międzynarodowym, nabytych w ciągu ostatnich dwóch lat i dotychczas nie ekspozowanych. Wystawa zapowiada się interesująco, stworzy okazję do obejrzenia najnowszych zakupów, których na razie ze względu na brak odpowiednich warunków nie możemy włączyć do stałej ekspozycji. Dzieła graficzne wymagają specjalnych środków ostrożności ze względu na ich wrażliwość na dłuższe działanie światła. Czynimy obecnie wysiłki, aby znaleźć formy stałej ekspozycji grafik. Być może, będzie to system „albumowy”, który ostatnio praktykują pewne muzea za granicą. Tak pomyślany gabinecik grafik pozwoliłby na udostępnienie niektórych prac graficznych w już istniejących warunkach.

Następna wystawa będzie ekspozycja prac najwybitniejszego żyjącego malarza kubańskiego Wilfredo Lama. Mieszka on od wielu lat we Francji, ale na Kubę stale powraca. Artysta ten zalicza się do najbardziej aktywnych uczestników światowego ruchu surrealistycznego, który koncentrował się swego czasu wokół André Bretona. Będzie to pierwsza wystawa Lama w Polsce, przygotowuje ją dla nas Muzeum Narodowe w Hawanie.

Mamy oczywiście i dalsze plany wystawowe, ale o nich dziś mówić jest jeszcze nieco za wcześnie.

— Dziękujemy więc, a o więcej poprosimy w przyszłości.

Rozmawiała:

TERESA WOJCIECHOWSKA

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

„Żeglarz”

Wystarczy, żebyśmy się rozejrzeli dokoła nas, a przekonamy się, że jesteśmy otoczeni nieprzebraną ilością mitów, utrwalonych w rzeźbie, malarstwie, historii, a co najważniejsze — żyjących w naszej pamięci indywidualnej i narodowej i będących często przejawem tkwiących w naszej podświadomości kompleksów osobistych i zbiorowych. Rzecz w tym, żeby sobie zdawać sprawę, że są mity, które służą z korzyścią jednostce i narodowi, lecz są również i takie, które hamują rozwój osobowości lub na całe stulecia kładą się w poprzek bytu narodowego i z irracjonalnym uporem, wbrew wszelkiemu rozsądkowi tamują postęp w różnych dziedzinach życia. Są bożę intelektualna uroczka skądinąd, wrzuszającej i świetnie napisanej komedii Szaniawskiego „Żeglarz” polega właśnie na całkowitym zatraceniu różnicy pomiędzy mitem, który może być natchnieniem narodu, a mitem, który pasywnie kłamstwo do jego życia zbiorowego. Bo jakie to? Dlatego, że kłamstwo czyli mit-pasożyt „uskrzydla” człowieka (jakby pragnął autor) „ku czemuś, co jest ponad nami”, to należy się zgadzać, tolerować, pozwolić, żeby pasywnie kłamstwo triumfowało nad prawdą?

Zresztą, w zakończeniu sztuka obraca się przeciwko autorowi, gdyż myślący widz mubnie spuścić refleksję o spustoszeniach moralnych, jakie się dokonały w umysłach studentów „w czarnych beretach”, których (studentów) spotkał zawód, gdyż Jan nie odczyta przygotowanego przemówienia, demaskującego Kapłana Nutę, z którego, notabene, komitet budowy pomnika Żeglarza czyli tegoż Nutę zrobił kłamcę. „Czarne berety” odejdą od monumentalnej rzeźby w przekonaniu, że całe miasto (które zrobiło bohaterem pijacznym i tchórzem) jest zaklamane albo, co gorsza, odejdą z rozgoryczeniem i świadomością, że taka jest właśnie prawidłowość zbiorowego życia.

„Żeglarz” to bardzo polska sztuka, i nie można się dziwić, że Boy-Médrec napisał po prapremierze „Żeglarza” w 1925 roku, że byliśmy najbardziej zaklamany krajem na świecie.

„Żeglarz” jest więc pochwałą mitu w ogóle, a każde uogólnienie artystyczne nabiera niezwykle sugestywny wymowy, gdy zostaje sformułowane przez pisarza takiej miary, jakim jest Szaniawski. Stąd — chociaż nie można za przeczyć, że twórca „Żeglarza” potrafił odsonić mechanizm walki sił mitotwórczych z głosicielem prawdy — Janem, to jednak wrzuszony widz opuszcza salę teatralną pod wrażeniem i w przeświadczeniu, że wartością nadrzędną jest właśnie — mit. Dlatego muszę od razu napisać kilka słów uznania pod adresem reżysera, Witolda Zatorskiego, który starał się to „wrażenie wrzuszonego widza” osłabić na tyle, na ile mu pozwalał reżyserki ołówki. Według tekstu autorskiego w finale komedii, po odsłonięciu pomnika „Jan z wolna zdejmując beret” czyli poddaje się kłamliwej sile i zafascynowaniu mitem. Natomiast w koncepcji reżyserkiej — głosiciel prawdy, Jan, występuje na proscenium z rękopisem przygotowanego uprzednio przemówienia, trzymanego w rękach i gestem, jakby zamierzał ów demaskatorski dokument rozdrzeć, zdaje się milcząco zwracać do widzów z pytaniem: „No, i cóż państwo o tym wszystkim sądzicie? Rozdrzeć czy nie ro-

zdrzeć, ukryć prawdę czy ją ujawnić?”. Ostatecznie, chyba (po opadnięciu kurtyny) rozdrze, gdyż w przeciwnym wypadku byłoby to pogwałceniem fundamentalnej „ideologii” utworu, ale ziarno wątpliwości zostało (i słusznie!) wśród publiczności zasiane!

„Żeglarz” dał okazję zespołowi Teatru Nowego do koncertowej gry aktorskiej wszystkich piętnastu wykonawców. Na plan pierwszy wysunął się Zygmunta Malawski w roli tytułowej. Po niezapomnianym Dyrektorze w „Tkaczach” nowa kreacja znakomitego artysty! Już swym pierwszym wejściem na scenę Malawski sprawia wrażenie przybysza z zaświatów, o którym się mówiło na początku sztuki, że nie żyje. A potem — melancholia, smutna mądrość starego człowieka, który wiele przeżył, i wreszcie — zagrane bez przerysowania przeżycie uświadomionej klęski całego życia na widok własnego pomnika, odsianego przez Komitet Budowy. Trzech głównych aranżerów mitu znalazło doskonałych wykonawców w osobach Bolesława Nowaka (niepewny siebie, a głodny sła wy naukowiec), Bogusława Sochnackiego (zabawny groteskowy Admirał) i Zbigniewa Józefowicza (pyszny w każdym geście i mimice snoba i waśniaka). O Stanisławie Łapińskim, jako o Starym Marynarzu można powiedzieć, że dopiero od czasu Falstaffa chyba trafiła mu się niewielka wprawdzie, ale kapitalna rola, w której jego potężna vis comica mogła się wyrazić w tak doskonałym kształcie. Z postaci kobiecych zwracała uwagę przede wszystkim Celina Klimczak w roli Doktorowej. Mirosława Maludzińska miała dużo autentycznego liryzmu w roli narzeczonej Jana. Ową głosicielką prawdy Jan, to postać najstabilniej zarysowana przez Szaniawskiego, a jednak Zbigniew Nawrocki potrafił ożywić ją rzetelną siłą przekonania i młodzieńczego zapалу. Bardzo podobał mi się Ryszard Dembiński w roli Wydawcy i Eugeniusz Korczarowski w niełatwej roli Rzeźbiarza ledwie naszkicowanej przez autora komedii. Wanda Chwiłkowska, Aleksandra Krasoń, Mater i Stanisławski wydobyli ze swych ról pełnię właściwego Szaniawskiemu subtelnego humoru. Scenografia Henri Poulaina trafiła do mnie w pierwszym i drugim akcie, natomiast co do aktu trzeciego mam wątpliwości, czy nie należało tej knajpki „pod witrażami” trochę ozdobić, odpowiednio do patosu, królującego na sąsiadującym z „witrażami” placu odsłonięcia pomnika. Wreszcie, na zakończenie: Widziałem „Żeglarza” w TV. Tamten pozalódzki „Żeglarz” z wyjątkiem roli tytułowej był cieniem świetnego przedstawienia w Teatrze Nowym. TV ma zwyczaj dublować pewne widowiska. Czy nie warto, żeby po „wygraniu” teatralnego „Żeglarza” (a wróżę mu 100 spektakli) TV łódzka pokazała to widowisko na antenie ogólnokrajowej? Jest się przecież czym pochwalić przed rodakami!

Jerzy Szaniawski: „Żeglarz”, komedia w 3 aktach, reżyseria: Witold Zatorski; scenografia: Henri Poulain. Premiera w Państwowym Teatrze Nowym w dniu 10 kwietnia br.



Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje



NADAR

Pariski tygodnik „Humanité Dimanche” przypomniał ostatnio sylwetkę Nadara (właściwie nazwisko: Félix Tournaillon) francuskiego dziennikarza, amatora powierzeń podróży, fotografa, pierwszego fotoreportera i niedoścignutego uczeniśnika polskiego powstania wielkopolskiego w roku 1848.

„Za panowania Karola X — czytamy w „Humanité Dimanche” — miał entuzjast Feliks To



NADAR

urnachon zapowiadał, że pewnego dnia zbuduje przyrząd do latania”. Wiedział już latające balony więc postanowił to skłać, jak się to wtedy określało, aeronauta. Gdy w dwadzieścia lat później został dziennikarzem pasjonował się nadal podróżami powierzeń i marzył o życiu pełnym przygód. Gdy w roku 1848 wybuchło powstanie wielkopolskie, Nadar ze swym przyjaciółmi wyrusza na

huragan atakuje podróżników. Balon miotany gwałtownym wiatrem opada ku ziemi, zrywa druty telegraficzne, omalże nie wpada pod przejeżdżającą lokomotywę i wreszcie zanurza się w wodę. Nadar jest ranny, ale od tego momentu robi się sławny. Wydawane przez niego pismo „L'Aéronaute” podwaja swój nakład. Nadar i Jules Verne przemysłują teraz nad budowę maszyny latającej, cięższej od powietrza. Projektują urządzenie, które w wiele lat później zostaje skonstruowane jako śmigłowiec. Podczas wojny 1870 roku Nadar dowodzi kompanią balonową składającą się z 64 balonów, które przewożą drogą powietrzną kurierów.

MELINA MERCOURI

We Francji nazwili ją grecką La Pasjonarią. Melina Mercouri odmówiła udziału w dwóch filmach, nie udało się na tournée po Stanach Zjednoczonych, zrezygnowała z występów w komedii muzycznej po to, aby śpiewać w Europie dla zebrania zasłoków dla wychodźców z Grecji i dla ro-



dzin ludzi uwiecznionych przez faszystowski reżim. Melina podróżuje odbywając śpiewające recitale w Wiedniu, Paryżu, Oslo, Sztokholmie, Helsinkach, Kopenhadze, Berlinie, Monachium, Düsseldorfie i Rzymie. Przemawia do robotników, odbywa wiece, śpie-

wa, opowiada o tragicznych losach greckiego ludu i greckiej demokracji zdeptanej butem pułkowników.

SMIERC AMERYKANSKIEJ PISARKI

Północnoamerykańska pisarka Edna Ferber zmarła w Nowym Jorku.

Urodziła się w roku 1887 w Kalamazoo w stanie Michigan. Mając lat 17 pracuje jako reporterka w jednym z dzienników w Appleton. Debiutowała literacko mając lat 24 powieścią pt. „Dawn O'Hara”. Od tej pory nie przerywa już pracy pisarskiej. Interesowały ją głównie problemy życia kobiety i tak np. w powieści „So big” odmalowała ciężkie i pełne poświęcenia życie kobiety pracującej i wyszkolonej przez wazrywne przedsiębiorstwo koło Chicago. Książka zdobyła w roku 1924 nagrodę Pulitzera i została rozprzedana w ilości 300.000 egzemplarzy. Przeważała stawa przyniosła Ednie Ferber powieść pt. „Show Boat” będąca romantyczną opowieścią o losach grupy wędrownych aktorów pływających na Missisipi. Na podstawie książki została napisana operetka, na kręcony film (z Patiem Robesonem) i nadano widowisko telewizyjne.

WSPÓLCZESNA RZEZBA INDYJSKA

Jeden z ostatnich numerów radzieckiego miesięcznika „Inostrannaja literatura” przynosi niezwykle ciekawe informacje na temat współczesnej rzeźby indyjskiej. Na ogół kiedy mówi się o indyjskiej rzeźbie, wyobrażamy sobie wykute w skałach sale, a w niszcach posadzki Buddy lub figury bóstw indyjskiego Panteonu. Dzieje się tak ponieważ na ogół znamy rzeźbę indyjską klasyczną, z czasów starożytnych lub średnowiecznych.

Czy współczesna rzeźba choćby zewnętrznie odzwierciedla to co działo się w Indiach w ciągu

długich wieków? Czy znajdujemy w niej jakikolwiek związek z przeszłością? Otóż takiego związku nie ma prawie wcale. W porównaniu z indyjskim malarstwem, a nawet z współczesną architekturą (wiele elementów konstrukcyjnych i dekoracyjnych z praktyki dawnego budownictwa stosuje się i dziś) w rzeźbie znacznie mniej jest elementów tradycyjnych lub stylizowanych według tradycyjnych kanonów. Wyodrębnienie się współczesnej rzeźby indyjskiej z natatu tradycji tłumaczy się tym, że indyjskie dymnastie wynajęte mahometanizm nie zachęcały do rozwoju rzeźby, podczas gdy architektura i malarstwo uprawiane były bez przeszkód i bez przerwy.

Współczesna rzeźba indyjska pod wielu względami przypomina współczesną sztukę zachodnią, co bynajmniej nie oznacza, że powtarza ją niewolniczo lub że pozbawiona jest swej specyfiki. Jeżeli porównać europejskie wystawy co

drugi rok, tzw. biennale, z dorocznymi wystawami rzeźby z całej Indii, łatwo jest dostrzec



Pradroz Das Gupta, Rysunek

zasadniczą różnicę. W rzeźbie indyjskiej nie ma motywów wyobcowania od świata, pojętego jako wrogi i obcy człowiekowi. Charakterystyczne dla tej sztuki jest zainteresowanie człowiekiem, wyraz wiary w moralność i fizyczne jego piękno, związek człowieka z otaczającą go przyrodą i dążność do poznania świata.



Człotamani Kar. Pocałunek.

MARIA KORNATOWSKA

Człowiek to brzmi dumnie

Dowiedzieliśmy się niedawno, że film Menzla „Pociągi pod specjalnym nadzorem” otrzymał Oscara jako najlepszy film zagraniczny roku. Jest to już drugi Oscar, i to na przestrzeni tak krótkiego czasu, przyznany filmowi czechosłowackiemu. Twórczość naszych południowych sąsiadów stanowi dziś bezsporną pozycję światowego kina. Wypowiedzi Chytilovej, Nemece, Formana, Schorma zdobyły szpalty każdego szanującego się czasopisma filmowego w Europie i na antypodach. Minął czas pobbżliwej tolerancji i życzliwego poklepywania po plecach, tudzież złośliwych prognoz zawistnych a mniej fortunnych konkurentów. Produkcja made in Barradowo podbita świat. Nowych dzieł Formana czy Chytilovej oczekujemy się z tym samym napięciem i uwagą co nowego Bergmana lub Antonioniego.

Wielu uczonych w piśmie głowi się nad odkryciem „tajemnicy” sukcesów czeskiego kina. Jak sporo poczynają, znaczący inspirowanych intencjami, trud to jałowy. Nie zamierzam tedy szukać tej jej dnej, jedynej przyczyny, która mogłaby zadecydować o

wspaniałej erupcji czechosłowackiego kina. Interesuje mnie natomiast sens owej twórczości, zwycięzki ludzki sens.

W sztuce powojennej, nie tylko zresztą filmowej, znalazł się dwa przeciwstawne sobie nurty: rozpacz i nadzieja. Ten pierwszy widzi w człowieku aniola zagłady, drugi zaś szuka w nim jedynej źródła wartości i ocenia. Nurty rozpacz i nadzieja, a przede wszystkim światowa dostarczyła mu szczególnej pożytki. Niczym w „Akropolis” Wyspiańskiego-Grotowskiego, pozostała wiła po sobie emantaryzujące ideały i wartości, które dotąd uważano za niezaprzelalne. „Ludzie ludzom zgotowali ten los” — czyż trzeba dodać coś jeszcze do tych okrutnych słów mądrej pisarki? A przecież koniec wojny w oczach wielu zdawał się zapowiadać początek nowego świata, jutrznia piękniejszego dnia. Na gruzach czasów pogardy nieśmiało rodziła się nadzieja. Głosem tej nadziei w sztuce filmowej stał się wstąpienie neorealizmu.

Po demagogii, retoryce i zakłamaniu faszystów, neorealizm był wołaniem o prawdę. Wprowadził na ekrany człowieka — jednostkę, i domagał się dlań praw i szczęścia. Dla emeryta z „Umberto D.”, dla bezrobotnego ze „Złodziej rowerów”, dla wyzyskiwanych z „Gorzkiego ryżu”, dla chłopów z „Tragicznego pościgu”, „Szalony apostoł” neorealizmu, Zavattini wierzył, iż ludzie ci są najkenniejszą wartością, miarą znaczenia wszelkiej sztuki. Neorealizm był bowiem sztuką doskonałego antropocentry

zmu. „Szalony apostoł” wierzył także w człowieka-widza. Jemu oddał w ręce los swych bohaterów. Apelował do solidarności, do braterstwa. Neorealizm podniósł do rangi najwyższej w hierarchii wartości człowieka — odpowiedzialność. Odpowiedzialność za los własny, społeczny i narodowy.

W głośnym filmie „Trudne lata” Luigi Zampa rzucił w twarz swym współzomkom oskarżenie, iż wszyscy ci, którzy nie walczą przeciwko fašyzmowi ponoszą odpowiedzialność za jego konsekwencje. Bohater filmu gogolowski urzędniczy magistratu, należy do tzw. uczelnych ludzi. Nie robi żadnych świństw, ma „czyste” ręce, tyle, że w imię dobrobytu rodziny i świętego spokoju, przystosowuje się. Nie protestuje, ulega okolicznościom. Jest po prostu bierny. Historia była jednak nieublagana i tragicznie przeznaczenie nie oszczędził poczciwego urzędniczego. Poniesie konsekwencje własnej bierności i obojętności na sprawy społeczne. Historię tworzy się bowiem rekoma ludzi a nie mocą zmistyfikowanych, tajemnych sił. I historia jest taka, na jaką zasługujemy. Za hańbiące panowanie fašyzmu odpowiedzialne są także miliony tzw. uczelnych Wiochów, których zresztą jego skutki najbardziej dotknęły.

W ten sposób obarczając go ciężarem odpowiedzialności, neorealisci głosili swą wiarę — najpiękniejszą z istniejących — wiarę w człowieka i jego możliwości. Stąd tak charakterystyczny dla ich filmów gorzki pesymizm. Krytyk znakomity, Andre Bazin określił neorealizm mianem rewolucyjnego humanizmu.

Owo humanistyczne postanie nadziei przejęła z rąk Wiochów kinematografia czechosłowacka. Dla realizatorów czechosłowackich problem odpowiedzialności jednostki za historię własnego kraju, problem odpowiedzialności moralnej człowieka w ogóle, stał się także sprawą najważniejszą. Włosi czują się winni tego, iż dopuścili w swej ojczyźnie do zwycięstwa fašyzmu. W wywiadzie udzielonym „Życiu Literackiemu” świetny reżyser Karel Kachyna powiedział, iż jego współzomkowie mają kompleks winy z racji biernego postawy narodu w imię mienne napaści hitlerowskiej na Czechosłowację. Ten kompleks winy znalazł ujście w wielu czechosłowackich filmach. Przywodzą one na myśl słynne zawołanie Fuczka — „Ludzie, bądźcie czujni”. Czujni w stosunku do siebie samych i w stosunku do tego co się wokół was dzieje. W parze z poczuciem odpowiedzialności idzie aktywność, czynna, zaangażowana postawa. Nie wolno milczeć, nie wolno zgadzać się, nie wolno nie sprzeciwiać się. W bardzo piękny filmie „Sklep przy głównej ulicy” Kłosa i Kadara kwestia ta zostaje postawiona w sposób szczególnie drastyczny. Dziwnym losu rządzeniem film ten pod wieloma względami przypomina dzieła neorealizmu. Swoją poetyką, atmosferą, pełnym ciepła stosunkiem do bohaterów, Kłosa i Kadara całkiem wyraźnie i chętnie, jak sądzi, świadomie, nawiązują do słynnego angielskiego „Cudu w Mediolanie” De Siki.

W filmach Nemece, Schorma, Passera, Kachyna, Formana i innych człowiek zajmuje miejsce centralne. Staje się absolutną miarą wszech-

rzeczy. Tym — dla kogo i przez kogo dokonuje się przemiana świata. Podobnie jak neorealisci, realizatorzy nowego kina czechosłowackiego z ogromną uwagą przesyconą prawdziwie ludzką solidnością pochylają się nad losem zwykłych ludzi, z których składa się społeczeństwo — naród, i z których każdy o obliczu i przyszłości owego narodu własną postawą decyduje. Kapitałnym tego świadectwem są takie filmy jak „Miłość blondynki” i „Czarny Piotrus” Formana, „Intymne oświetlenie” Passera itd.

Diagnozy społeczne czechosłowackich twórców są zapewne znacznie bardziej złożone i znacznie głębsze niż to miało miejsce w filmach włoskich. Wynika to zapewne z różnic w temperatach narodowych i tradycjach kulturalnych. Jak wielokrotnie już podkreślano, Włosi mają słabość do ekwilibrystycznego sentymentalizmu, żywiłowych melodramatów. Tradycja haszowska jest znacznie bliższa współczesnemu odbiorcy, jak dowodzi chociażby doświadczenie „Pociągów pod specjalnym nadzorem”. „Pociągi” stanowią doskonałą niemal syntezę wszystkich walorów czechosłowackiej szkoły. Są czymś w rodzaju współczesnego moralitetu. Są znakomitym świadectwem tego, iż można w sposób rubasznie frywolny mówić prawdy podstawowe i tragiczne. Odarte z retoryki i fałszywego patosu zyskują one na autentyczności i sile wyrazu. Menzel raz jeszcze dowodzi, iż świat należy oglądać przez pryzmat człowieka, jednostki ludzkiej. Wychodzimy z tego filmu z przekonaniem, iż człowiek to naprawdę brzmi dumnie.

Bez strachu

DWA PSY

Kiedyś otworzyłem drzwi mojego pokoju i zobaczyłem dwa olbrzymie psy. Były szarobure i spoglądały na mnie oczami bardzo smutnymi, a przecież życzliwie i układnie. „Nie, nie mam” — powiedziałem rozkładając ręce. „Nie, nie mam, drogie pieseczki, do jedzenia, nie...” Zrozumiały i opuściły pokój wyskakując oknem, kiedy w nocy wyjrzałem, zobaczyłem je — dwa głodne cienie w ciemności. Powracały przez wiele dni i nocy, a ja nigdy nie miałem dla nich mięsa ani chleba — jadłem bowiem na mięsie. Rzecz szczególna — wiele myślałem o głodnych psach, a dopiero po kilkunastu dniach przyniosłem dla nich resztki obiadu zawinięte w papier. Od tej chwili psy witały mnie radośnie — lizały mnie w rękę, ocierały się o nogi. Czy była to przyjaźń czy też interesowne próby zaskarżenia sobie życzliwości karmiącego? Czy zlekąłem się z parą oportunistów czy też pozyskałem przyjaciół. Oglądałem psy i sam byłem pilnie obserwowany. Zdawałem sobie sprawę z ich znakomitej sytuacji. One bez mojej woli wskoczyły do pokoju — ja nie znałem ich imion, ani miejsca i sposobu mieszkania, nie wiedziałem czy obdarzono je szacunkiem, czy też łajano i kopano. One podjęły przemysłowe zabiegi by pozyskać we mnie żywiciela — wykazały finezyjną znajomość mojej psychiki — zdolność przewidywania moich czynów, ba! kształtowania ich — miały prawo uważać mnie za stworzenie niższej zorganizowane, przypadkowo posiadające żywność. Ich oczy wyrażały ciepłą życzliwość — czy wiedziały o moich kłopotach i momentach powodzenia, czy mogą leżeć na ich poparciu w stosownej chwili, czy na przykład podsuną mi temat, bądź zajmą się redagowaniem mojej książki? Nie tego chyba mogę oczekiwać... Nie można wymagać od przyjaźni zbyt wiele... Psy stoją bezustannie pod oknem, kraja dokoła do mu, gdy jestem na mieście — myślę o ich głodnych oczach i zbieram już resztki z oduzych obiadów — dokupuję także trochę taniej, stosownej do skromnej pozycji społecznej moich przyjaciół żywności. Być może to ja jestem oportunistą — liczę na przyszłą odpłatność mojej darowizny — psy dają przecież dowód ostrożności i odpowiedzialności, wykazały się także silną, uporczywą wola, może jednak kiedyś okażą mi względy, należy je zatem nie tylko żywić ale traktować z szacunkiem. Mówię do nich „dzień dobry” — podaję żywność — „słuchaj przeze mnie”. Wyrażam się o nich z respektem także zaoceanie. „Dla kogo pan kupuje te koninke?” „Dla moich Państwa, oczywiście”. Poruczę im więc kieszonkowe zajęć, wykończę się — powoli zdobywanie żywności dla psów staje się jedyną moją celową formą działania, zaprosiłem psy do pokoju — teraz ja stoję pod oknem i wrucam pokarm. Przed otwarciem drzwi pukam, wchodzi bardzo nieśmiało, psy bowiem mięła, nie wrzucają mnie jednak za próg. Siadam w kącie, i staram się w bieżącym nie przekładać, nie zwracać na siebie uwagi. Niektórzy ogarnia mnie lek, a może postawiłem na złego psa? Jest już zbyt późno na zmianę taktyki i postawy, wyjmuję zatem z kieszeni paczuszkę i mówię: „służę uprzejmie, dzisiaj wyborna koninka — smacznego, smacznego!”

BERNARD SZTAINERT

...i wszędzie
Go znają
i cenią

W bliskim sąsiedztwie Prze-
działanej, od ulicy Emilii,
noszącej dzisiaj nazwę 8 Mar-
ca, odchodzą dwie wąskie
uliczki — Golebia i Wilcza.
A ponieważ teren w tym
miejscu spadał trochę w dół,
ktoś nadał okolicy nazwę Do-
łek i tak zostało do dnia
dzisiejszego. Obskurne kamie-
niczki zamieszkiwały wielo-
dzietne rodziny robotnicze,
zatrudnione w pobliskich fa-
brykach Scheiblera.

Nie bardzo pochlebna na-
zwa „Dółkarze” przygnęła
do mieszkańców małych ulic,
choćby rzeczywistymi jej re-
prezentantami była grupa
złodziejów i ludzi, któ-
rych zwykło się określać la-
pidarnym terminem — me-
ty społeczne. Najzdy na Dolek
organizowali chłopaki od Zyn-
dermana z Górki, czyli Roici-
cińskiej, Dółkarze robili wy-
pady na Szezyng i tak kwido-
bujne życie towarzyskie, co-
dziennie niemal przynoszące
sensacyjne wiadomości o efe-
ktywnym pchnięciu nożem, al-
bo wyjątkowo udanej bójce.
Po żniwach na pobliskich po-
lach organizowano swoje
zawody „hula-la” między re-
prezentantami sąsiednich ul-
lic. Zawody te ze sportem
nie wiele miały wspólnego.
Sprzęt stanowiły przede wszy-
stkim kamienie i urządzenia
o dziwacznej nazwie „sznaj-
dry”, wypychające kamień
na odległość nawet 200 m.
A ponieważ celem były nie
tarcze, lecz głowy przeciwni-
ków, często zdarzało się, że
co słabsze czaszki tu i ów-
dzie pękały.

1.

Niechłubne tradycje Dółka
przerwały doł czasów dzi-
slejszych, chociaż kontynuato-
rzy, to tylko licha namiastka
dawniejszych bandziorów. Mo-
żliwość rozróby już od daw-
na mocno się skurczyła, a
niemal w tym zastępcę ma
tu człowiek w szarym, mili-
cyjnym mundurze — dzielni-
cowy, starszy sierżant Ed-
ward Różański z widzewskiej
Komendy Dzielnicowej MO.
Kiedy sierżant Różański o-
bejmował w 1961 roku nową
dzielnice, kolega, który stąd
odchodził nie omieszkał po-
informować swego następcę,
że praca nie będzie łatwa.
Grupki młodocianych chuli-
ganów zbierające się w są-
siedztwie kina „Odra” budzi-
ły uzasadniony lęk pojedyn-
czych przechodniów. Wielu
nieurzędujących birbantów,
wracających z pobliskiej „Ma-
gnoli”, żegnało się z reszka-
mi ocalałych pieniędzy i ze-
garkami. Starsi rozrabiacze,
ci którzy rzewnie wspomina-
li czasy „hula-la” i zbioro-
wych bijatyk, wyspecjalizo-
wali się w ograbianiu komó-
rki i strychów, pedzeniu
bimbrowa, sutenerstwie, a wsze-
kie życiowe kłeski przyzwycz-
czali się topić w wodce. Nie
łatwe życie mieli uczciwi
mieszkańcy tej dzielnicy.
Przyzwyczajeni do ciągłych,
większych lub mniejszych a-
wanturni, z pewną rezerwą,
ale i nadzieją śledzili poczy-
nienia nowego dzielnicowego.
Dzielnicowy od samego po-
czątku przyjął metodę ści-
słej współpracy z mieszkań-
cami i organizacjami społecz-
no-politycznymi działającymi
na podległym mu terenie. Nie
mal codziennie zjawiał się u
przewodniczącego Komitetu
Blokowego, gdzie zasięgał infor-
macji o swoich kramnych
podopiecznych. Nieocenionym
źródłem informacji był czło-
wek TK FJN, stary, jeszcze
z czasów przedwojennych,
mieszkaniec Dółka. Ludzi po-
znawał sierżant Różański na
zebraniach Komitetu Bloko-
wego, Komitetów Domowych,
podczas obchodów dzielnicy
i wizyt w mieszkaniach. Kie-
dy większość ludzi przekona-
ła się o słuszności metod
pracy dzielnicowej i wyda-
tnie zaczęła mu pomagać, naj-
ważniejszy problem został
rozwiązany. Najważniejszy,
ale nie najgroźniejszy. Ze zro-
zumiałych powodów nowe
porządki nie podobały się
grupie chuliganów i przestep-
ców, którzy tylko czekali
okazji, aby załatwić pora-
chunki z dzielnicowym. Na
te okazje czekał również
sierżant. Kiedy wreszcie przy-
szła, okazało się, że sierżant
był lepiej przygotowany. Na
drugą dzień do komendy
zgłosił się jeden z tych, co
wrosli na przedwojennych
tradycjach nożowniczych i
ku zdumieniu sierżanta, prze-
prosił go. Od tego czasu
świata przestępcy zaczęli z
respektem omijać dzielnicow-
ego, a ten i ów po raz
pierwszy uchylił czapki. I to
było przeżycie najgroźniejszej
przeszkody.

2.

Stosunkowo szybko rozpra-
wił się sierżant Różański z
młodocianymi chuliganami,
którzy za bazę wypadową
obrali kawiarenkę sąsiadują-
cą z kinem „Odra”, w Do-
mu Kultury — ironia w tym
zdaniu jest zupełnie przy-
padkowa — przy Przedzła-
nianej. Pomocni okazali się
kolecy i znajomi największych
rozrabiaczów. Wezwani
na przesłuchanie, słysząc o
swoich wyczynach z ust sier-
żanta dziwili się: „przecież
pana władzy wieczoraj tam nie
było”. Tak samo zaskakiwał

dokładnymi wiadomościami
meliniarzy, notorycznie za-
opatrujących w alkohol sprag-
nionych, którzy z pustą kie-
szenią odchodzili spod zamk-
niętych drzwi sklepów z
wódką, lub prywatnych kon-
kurentów przemysłu monopo-
lowego — bimbrowników.
Dzielnicowemu pomagał nie
tylko aktywny społeczny, który
niejako z urzędu zajmował
się pilnowaniem porządku
na własnym terenie. Zgła-
szali się przede wszystkim
zwykli mieszkańcy, którym
leżało na sercu porządek i
spokój w dzielnicy.

Sierżant Różański szybko
zapewnił sobie pomoc, orga-
nizując posterunek ORMO. Z
początku chuligani z lekce-
ważeniem patrzyli na spo-
łecznych funkcjonariuszy, trak-
tując ich jak zło konieczne,
ale niegroźne. Kiedy sier-
żant polecił, aby ormowcy
swoją działalność przestawili
przede wszystkim na obser-
wację i notowanie nazwisk
rozrabiaczy, ci ostatni byli
początkowo zaskoczeni, nie
orientując się, kto mógł do-
starczyć dzielnicowemu do-
kładnych wiadomości. Potem
zaczęli kłaniać się również
ormowcom.

3.

Sierżant Różański, zapytany
o cechy, jakie jego zdaniem
powinien posiadać dzielnicow-
y, aby osiągnąć w swojej
pracy powodzenie, dyploma-
tycznie uchylił się od odpo-
wiedzi. Widoczne efekty swo-
jej pracy zawiadczą, przede
wszystkim, dokładnej znajo-
mości ludzi, którzy mieszka-
ją w jego dzielnicy, tych któ-
rzy chcą spokoju i szczegól-
nie tych, którzy ten spokój
zakłócają. Kiedy pewnego
wieczoru do komendy zgło-
siła się młoda kobieta z pla-
czem opowiadając, jak nie-
znany jej mężczyzna zaata-
kował ją w parku, sierżant
zapytał o rysopis. Wystar-
czyło niewiele: — wysoki
brunet, z czarną brodawką
na twarzy. Wysoki brunet,
kilkakrotnie zresztą karany,
był dobrze znany sierżantowi.
Natychniał wysłano po
niego samochód, i brunet na
półtora roku pożegnał się z
wolnością.

— Trzeba mieć trochę szczep-
ścia — dodał po namyśle
sierżant Różański. Szczęście
sprzyja mu do tej pory przy
wykrywaniu sprawców różno-
go rodzaju włamań. Przykła-
dy? Choćby w błyskawicz-
nym odnalezieniu sprawy włama-
nia do kiosku „Ruch”.
Dzielnicowy jechał właśnie
do komendy, kiedy zauważył
millejantów badających skutki
kradzieży. Przed tym sa-
mym kioskiem, trzy dni
wstecz, podczas nocnego ob-
chodu, sierżant zauważył kre-
cącego się mężczyznę. Był to
znany już milicji przestępca
ze Skierniewickiej. Milicjant
od razu udał się do mieszka-
nia podejrzanego, bo coś mu
mówiło, że właśnie tam znaj-

dzie skradzione towary. I
rzeczywiście znalazł, leżały
w szafie, nawet niczym nie
przykryte. Zmęczony nocną
pracą złodziej jeszcze spał.
Można by tu jednak z dzie-
licowym Różańskim dysku-
tować, czy to szczęście, czy
prostu, zdobyte w ciągu
11 lat pracy na tym stano-
wisku, doświadczenie, oparte
na wnikliwej obserwacji, de-
cyduje o powodzeniu.

4.

75 proc. czasu pracy dziel-
nicowego upływa w terenie,
z tego znaczną część pochła-
niają godziny nocne, kiedy
trzeba obejść wszystkie meli-
ny podejrzanego o nielegalną
sprzedaż wódek i sutener-
stwo. Kiedy trzeba uciszyć
hałasującego pijaka, przejść
po parciu, czy wreszcie zmu-
sić do udania się na spoczy-
nek obywateli nie umiejących
uzasadnić zainteresowania za-
mkniętym sklepem lub kios-
kiem. Praca dzielnicowego
polega także na profilaktyce.
Stąd wypływa stała potrzeba
rozmów z niespokojnymi oso-
bnikami. Stąd zebrania z
mieszkańcami lub organizo-
wanie pokazowych rozpraw
ku przestawce tym, którzy
wahają się nad wyborem kie-
runku swojej przyszłej drogi
życiowej. Z tego samego po-
wodu sierżant Różański jest

częstym gościem w Zasadni-
czej Szkole Budowlanej przy
ul. Przedzłanianej. Podczas
spotkań z młodzieżą, w znacz-
nej części przybyłą ze wsi i
chcącą uciech wielkomięjskie
go życia, sierżant zapoznaje
z ważniejszymi przepisami
Kodeksu Karnego, poucza, wy-
jaśnia wątpliwości.

Dolek — dzielnica sierżan-
ta Różańskiego powoli zaczy-
na się zmieniać. W miejscu,
gdzie stały przedwojenne dom-
ki, wyrastają powoli nowe
bloki. I tutaj, kiedy na budo-
we zaczęło pić i kraść, dziel-
nicowy musiał interweniować.
Gineły grzejniki, materiały
budowlane, wreszcie, z placu
budowy zniknęło ponad 20
drzwi. W sąsiednim bloku,
do którego sprowadzili się
już lokatorzy, większość mie-
szkańców miała format M-3 z
niefortunnym, bezdrzwiowym
przejściem. Lokatorzy chcieli
mieć drzwi, robotnicy łacznie
z kierownikiem piędznie,
sprawa dosięgnęła również
ADM-u, który zezwolił na re-
monty, nie interesując się zu-
pełnie materiałem na owe
remonty i źródłem, z które-
go pochodzi.

Jak widać przebudowa Dół-
ka nie zmniejsza pracy dziel-
nicowego, wręcz odwrotnie.
Stale sprowadzają się nowi
ludzie, których trzeba prze-
cież poznać.

5.

„Jest On małym, niedużego
wzrostu, ale ma duże osią-
gnięcia i wszędzie go widza,
znają i cenią (...) Mieszkańcy
„Dółka” w dzielnicowym Ró-
żańskim widzą prawdziwego
i oddanego pracownika Służ-
bie Narodu i społeczeństwu,
widzą w nim ojca, opiekuna
i nauczyciela, który potrafi
znaleźć się wszędzie, odwie-
dzić starców i nimi się za-
opiekować, nawet młodzież
bardzo Go docenia i w wielu
sprawach, nawet przyszłej
pracy zawodowej lub nauki,
zwraca się do Niego, a On
im pomaga i kieruje ich w
miarę możliwości i zdolności
do szkoły lub pracy. Tą dro-
gą, my niżej podpisani, pro-
simy o wydrukowanie tego
podziękowania na łamach Wa-
szej prasy i życzymy Dzielni-
cowemu Różańskiemu dal-
szych sukcesów w pracy za-
wodowej i awansów służbo-
wych”.

To tylko krótkie frag-
menty listu, jaki mieszkańcy
dzielnicy wystosowali w sty-
czniu br. do redakcji „W
Służbie Narodu”. Podpisów
i stempli jest cała strona.
A tytuł, pod jakim nadawcy
listu chcieli widzieć go w mi-
lcyjnej gazecie, brzmi —
„Mały człowiek z dużymi
osiągnięciami”. Ja wniośta-
bym tu sprostowanie. Dzielni-
cowy Różański jest tylko mi-
skiego wzrostu.

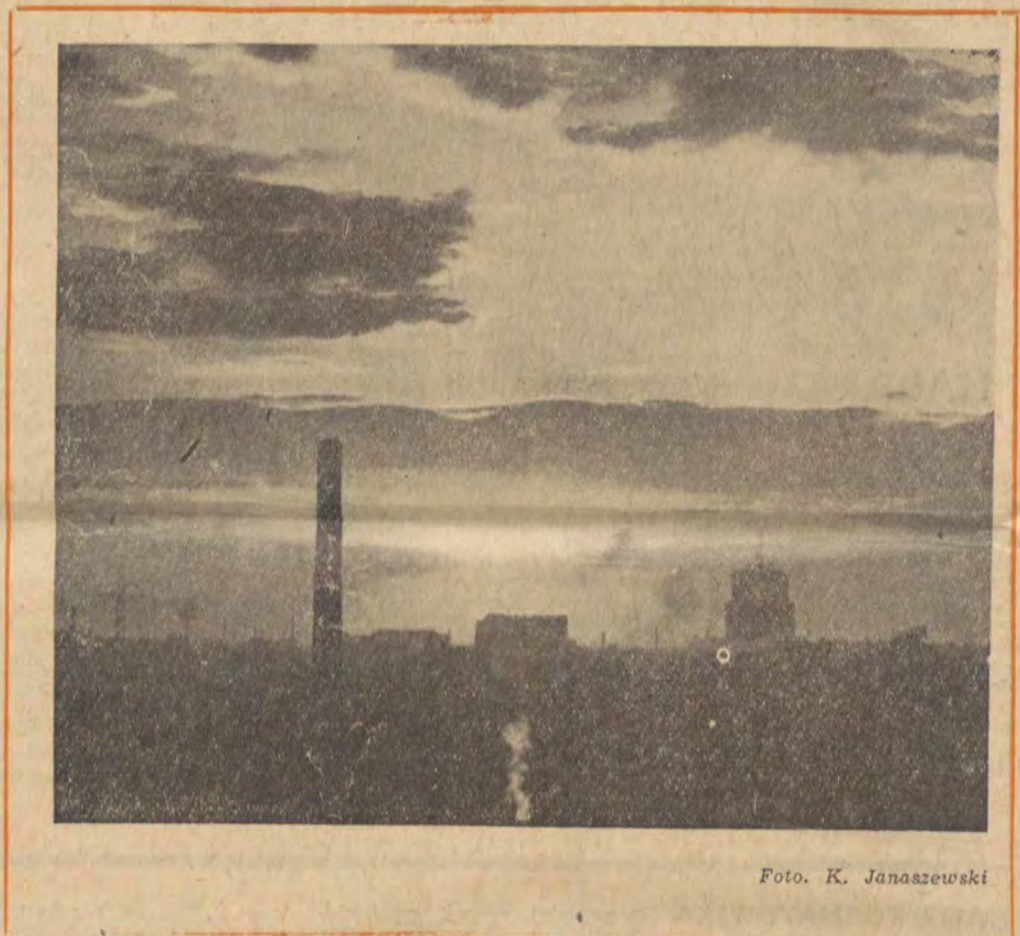


Foto. K. Janaszewski



Lewym
okiem

ROZSZYFROWAĆ CO DO KOLORÓW

W swym stałym felietonie w „Kulturze” z 21
kwietnia Jan Szeląg cytuje — jako przykład do-
prowadzenia do biurokratycznych absurdów nie-
których form planowania i zarządzania — zdanie
prezesa „Samopomocy Chłopskiej”, Tadeusza Jan-
czyka, który nieco wcześniej w „Rolniku Spół-
dzielcy” przypominał, że „jeszcze nie tak dawno
nasi planiści usiłowali w liczbach planu ogólno-
krajowego zaurzędzić przychówek ryb w rzekach
i jeziorach oraz zaplanować skup skórek kociach
z podziałem na czarne oraz białe”.

Czytelnik „Kultury” uśmiechnie się z polito-
waniem i zaraz uspokoi, że to było „nie tak daw-
no”, że to nie dziś, żeśmy zmądrzeli. Niestety,
proszę państwa, niestety!

Jedną taką falę groźnego śmiechu już pamię-
tam — sprzed dwunastu lat. Pamiętam, jak po-
tężnie wykpiłono wtedy wskaźnik „Przyplodu za-
jęcy” i wskaźnik „ukukurydzenia wsi”. Ale —
siedząc do dziś po uszy w tak zwanym aparacie
zarządzania przemysłem — nie mogę tamtych

groteskowym wspominkom przeciwstawić rady-
kalnie dzisiejszej sytuacji. Przyplody zajęcy i skup
burek kotów nie są upiorami przeszłości! To
żyje, ba — to się mnoży i rozkrzewia ponad
wszelką miarę!

Nie jestem taki odważny, żeby przytaczać przy-
kłady zupełnie konkretne. Pracownicy różnych
szczebli administracji przemysłowej bez trudu
podstawia znane sobie realia własnych branż i
stwierdza na pewno, że przykłady są — chociaż
nieprawdziwe — prawdziwe. Oto wysoka władza
żąda w okresie przygotowywania oferty przed
targami krajowymi, żeby określić, ile w tej ofer-
cie znajduje się, dla przykładu, szelek brunat-
nych, a ile popielatych. Nie pomaga tłumaczenie,
że producent oferuje pół miliona szelek, a ich
kolory będą takie albo inne, w zależności od te-
go, jak zamówią odbiorcy. Należy podać ilość
w każdym kolorze! — grzmia pisma, potem da-
leko piszą, potem telefonijny błyskawiczny. Nikt
nie wie po co, ale wreszcie władzy trzeba ustąpić.
Bierze się więc pierwiastek z pieca, dzieli przez
sumę klepek w podłodze i „rozszyfrowuje ofertę
szelek co do kolorów”. Na nieszczęście dla urzęd-
ników! Bo przecież dopiero się zaczęło. Potem są
targi, jest zakup, wszystkie instancje po kolei
interesują się, dlaczego kupiono popielatych sze-
lek tyle, a brunatnych tyle, w stu sprawozda-
niach wyjaśnia się odchylenia każdego koloru od
oferty, porównuje, analizuje.

Oto inna władza życzy sobie, żeby podać plan
eksportu garnków na tysiąc dziewięćset osiem-
dziesiąty piąty rok. To nie pomyłka: osiemdzie-
siąty piąty, żeby to tylko jakieś orientacyjne za-
łożenia „perspektywiczne” (tak to się nazywa
w żargonie planistycznym). Gdzie tam! Plan na-
leży ująć w rozbiu na rozmaite garnki, ile
małych, ile średnich, ile dużych, ile z tego na
kierunki zachodnie, ile z kaolitu, ile z blachy —

czysta poezja! Marzenie! Siedzi więc urzędnik
i marzy, żeby mu nie kazali tworzyć absolut-
nych, abstrakcyjnych poematów. Wreszcie uścielił
na siebie, zażenowany, wpisuje setki jakich-
kolwiek, wymyślonych cyfr w tysiące kratak,
myśli przy tym, że w innych branżach kolecy
robią właśnie to samo, że marnują na to zdrowie
i czas, że całe planowanie to właśnie taka lipa,
jaką w tej chwili podlewam... Urzędnika budzi
z tych myśli telefon. „W uzupełnieniu do... podać
należy rozbić perspektywiczny planu na ko-
lory i na kwartały...?”

Lipa ogarnia swym szumem skolatanę urzędni-
cze głowy. Za kilka lat ktoś będzie sprawdzał
w takim samym pocie czoła, dlaczego wykspor-
towano garnki z uszkiem, a w planie były prze-
cież bez uszka. Plan — baza dla tysięcy porów-
nań. Plan rozmięziony na siećkę szczegółików,
absolutnie niczym nie umotywowanych. Plan —
kapitałny teren łowiecki dla czynników kontroli,
których praca zaczyna się zawsze od hasła: plan
a wykonanie. Przyczynmy rozbieżności...

Cóż więc dziwnego, że — jak podało przed pół
rokiem jedno z czasopism — nasze zakłady i in-
stytucje produkują rocznie tyle akt, że ułożone
w sejfogatorach i ustawione rzędem zajęłyby
półkę długości pięćuset kilometrów. Wy-
obrażacie sobie taką potężną bibliotekę, co roku
nową? Niedługo całe miasta będą po prostu ar-
chiwami akt. Co zrobimy?

Najwyższy chyba czas ująć produkcję akt w ra-
my jakiegoś rozsądnego planu. Na sto lat co
najmniej. Z podziałem na ważne i nieważne,
w tym ile z pieczęcią okrągłą, ile z podłużną,
ile normodawczych, ile interpretacyjnych, ile
sprawozdawczych, ile montujących, ile niepotrzeb-
nych. Oczywiście — z podziałem na kwartały.

CWIEK